

TYLKO DLA DOROSŁYCH:

Powrót Marioli X. - „dewizówki” - str.14

DLA MŁODZIEŻY: Bruce Lee - str. 20



DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 6 (799)

11-24 marca 1984

CENA 10 ZŁ

Rozmowa z Bożeną Kowalską

AEROBIC ?!

— Podobno jest pani lubelską Jane Fondą, jeśli chodzi o aerobik i jego popularyzację?

— Spora przesada. Nie posiadam ani talentu, ani umiejętności Jane Fondy. I to nie tylko, jeśli chodzi o aerobik.

— A o co jeszcze?

— Choćby — aktorstwo. Może to nieskromne, ale powiem w tym miejscu, że od 1977 roku występowałam w Studiu, a później Teatrze Wizji i Ruchu, kierowanym przez Jerzego Leszczyńskiego. Również mój mąż, Bogdan, występował w tym zespole. Do września ubiegłego roku, to jest do czasu, kiedy odeszliśmy z teatru. Przez te ponad sześć lat zagrałam we wszystkich wystawianych przedstawieniach: „Malczewskim”, „Burzy” i „Follow my dream”. I były to role, które trudno byłoby zaliczyć do drugoplanowych.

— Jest zatem pani aktorką?

— „Papierów” aktorskich nie posiadam, bowiem w czasie kiedy część kolegów (a między innymi — mój mąż) zdawała egzaminy zawodowe ja przebywałam za granicą. Występowałam przez półtora roku w grupie pantomimy we Włoszech. Kiedy wróciłam, okazało się, że koledzy są już „zawodowcami”, a ja — nie. Oczywiście, zamierzam uzyskać uprawnienia profesjonalne przy najbliższej nadarzającej się okazji. Gdyby już dalej bawić się w porównania do Jane Fondy, to można zauważyć, że ona też nie kończyła żadnych szkół aktorskich, a w 1960 roku, mając lat 22, była jeszcze modelką.

— Mówi pani o Fondzie z dużą znajomością tej biografii i — trudno ukryć — sympatią. Czy ona również zarażała panią aerobikiem?

— Oczywiście, tak. Wylansowanie aerobiku jest jej zasługą, jakkolwiek nie ona była autorką samego pomysłu i podstaw teoretycznych. Autorem jest dr Kenneth Cooper, pracownik NASA, ten sam, który bardzo skutecznie lan-

sował jogging. W chwili jednak, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam aerobik — a było to w 1982 roku w Rzymie — nie wiedziałam, iż ma on cokolwiek wspólnego z Jane Fondą. Dopiero później, oglądając ćwiczenia w wykonaniu Jane, „zarażałam” się coraz bardziej. Oczywiście nie bez „winy” był także szum propagandowy, towarzyszący ćwiczeniom przy muzyce, a przede wszystkim — fachowe publikacje (ze słynnym „Workout” Fondy włącznie), płyty i kasety do wieceń oraz video-kasety. Wszystko to sprawiło, że kiedy latem 1983 roku wróciłam do kraju, dość dokładnie orientowałam się, co to jest i czym może być aerobik.

— I od razu zaczęła pani lansować aerobik w Lublinie...

— Nie. Z propozycją uruchomienia kursu w Lubelskim Domu Kultury zwróciłam się dopiero w listopadzie ub. roku kiedy stało się jasne, że drogi: moja i Teatru Wizji i Ruchu rozeszły się. Jednocześnie wiedziałam, że będzie mi brakować ćwiczeń fizycznych, ruchu, do czego przez tyle lat bardzo się przyzwyczaiłam, i postanowiłam jakoś to kontynuować. Ta moja propozycja, podobnie jak i inna — prowadzenia studium pantomimy w LDK — spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem. Udało się pogodzić interes ogólny z moim własnym.

— Czy wiedza o ciele ludzkim, jego mechanice, anatomicznych sposobach uruchamiania poszczególnych części wyniesiona z pantomimy, jest przydatna do aerobiku, który stanowi — było nie było — dość uproszczoną formę ćwiczeń?

— To chyba jasne. W pantomimie każde ćwiczenie czemuś służy. Przede wszystkim — podniesieniu umiejętności panowania nad ciałem, a także utrzymaniu go w sprawności i estetyce. Celowość ta jest jak najbardziej pożądana także w aerobiku, choć przyznając,



Bożena Kowalska w akcji...

Fot. Jacek Mirosław

Dokończenie na str. 6

Kobiety! Kochajcie nas!

Redaktorzy „Kamena”

Konkurs „Kamery”

Redakcja „Kamery” ogłasza ogólnopolski konkurs w dwóch działach:

1) WSPOMNIEN (PAMIĘTNIKÓW), które pod względem chronologicznym obejmować mogą dowolnie wybrane przez autorów okresy (tygodnie, miesiące, lata) istnienia Polski Ludowej — od początków formowania się nowej rzeczywistości państwowej w 1944 roku, przez lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, aż do czasów współczesnych. Konkurs ma charakter otwarty. Prace powinny przedstawiać osobiste doświadczenia życiowe, przemyślenia i refleksje — wprost lub pośrednio powodowane czy kształtowane przez wydarzenia ważne w skali kraju albo w wymiarze lokalnego środowiska społecznego. Inaczej mówiąc: organizatorom konkursu chodziłoby o pozyskanie takich prac, które komponowałyby się w Polaków portret własny: tyle subiektywny, właściwy dla indywidualnego przeżywania świata i własnej w nim obecności, co obiektywny, bo zależny od procesów ogólniejszych, także historycznych. Przede wszystkim oceniane będą: szczerść wypowiedzi i merytoryczna zawartość wspomnień, a nie ich jakość literacka.

2) REPORTAŻU — napisanego wyłącznie przez osoby uprawiające zawód dziennikarski. Prace powinny eksponować istotne problemy polskiego życia w społeczeństwie: społecznego, politycznego, kulturalnego i gospodarczego,

ujmując je w perspektywie doświadczeń jednostek, rodzin, grup zawodowych, zakładów pracy itp. Chodziłoby przy tym o reporterski zapis tych wszystkich przeobrażeń w sferze ludzkiej świadomości, które sprzyjają wyprowadzaniu kraju z kryzysu lub — z drugiej strony — proces ten utrudniają. Organizatorzy konkursu zainteresowani są ponadto reportażami przedstawiającymi motywacje, przebieg i skutki konkretnych przedsięwzięć na rzecz dobra zbiorowego, realizowanych w dowolnych środowiskach społecznych.

Prace podpisane godłem i zaopatrzone w zamkniętą kopertę z nazwiskiem autora, o objętości nie przekraczającej 15 stron znormalizowanego maszynopisu (w dziale wspomnień przyjmowane też będą czytelne rękopisy), należy przesyłać pod adresem redakcji (ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin) do dnia 15 maja 1984 roku (obowiązuje data stempla pocztowego). Liczba prac jednego autora — nie ograniczona. Wyniki konkursu ogłoszone zostaną w terminie do 30 czerwca br. W każdym z działów ustala się następujące nagrody:

- I — 25 tys. zł,
- II — 20 tys. zł,
- III — 15 tys. zł

oraz pięć wyróżnień w wysokości 8 tys. zł każde.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału kwoty przeznaczonej na nagrody i wyróżnienia.

Prace wybrane przez redakcję będą publikowane na łamach „Kamery” i honorowane według obowiązujących stawek autorskich. Respektowane będą ewentualne życzenia autorów wspomnień, dotyczące nieujawniania ich nazwisk w druku.

z notatnika

20 II. Komitet Centralny PZPR postanowił: 16—18 marca odbędzie się w Warszawie Krajowa Konferencja Delegatów na IX Nadzwyczajny Zjazd Partii.

Byłem jako dziennikarz, na IX Nadzwyczajnym i nie ukrywam, że chętnie przysłuchiwałem się również dyskusji na Krajowej Konferencji.

W przemówieniu, wygłoszonym na zakończenie XV Plenum KC, towarzyszył Wojciech Jaruzelski z całą mocą podkreślił:

„To dobrze, że minęła spieniona fala jednostronnego, pędzonego emocjami, podszywanego demagogią, krytycyzmu. Ale krytycyzm i samokrytycyzm leninowskiego typu płynący z ideowego zaangażowania, z siły przekonania, ze sprzeciwu wobec zła i gnuśnej przeciętności — jest partii potrzebny jak tlen do życia.”

Cytuję te słowa nie bez kozery. W dzisiejszym „Sztandarze Ludu” przeczytałem artykuł wstępny, agencyjny zresztą, pod którym podpisał się bardzo wytrawny publicysta. Przeraził mnie język! Dowiedziałem się z tego artykułu, że partia chce ocenić dokładnie, krytycznie i wnikliwie, że nie należy ukrywać trudności, kłopotów, pomyłek, potknięć, wypaczeń, a nawet i odstępstw, że droga przebyta przez partię wraz z narodem była niełatwa i nieprosta, że sumujemy dokonania i trudy, że trzeba ustalić optymalne drogi wiodące do uporania się z trudnościami, że walczymy o bezpieczeństwo socjalne i lepsze jutro ludzi pracy.

Wszystko to prawda, ale, na miłość Marksa, zaczynajmy wreszcie pisać o partii ludzkim językiem, bez utartych sloganów i zwrotów. Można? Można! Poczytajmy chociażby wystąpienia towarzysza Wojciecha Jaruzelskiego!

26 II. Z zainteresowaniem przejrzałem pierwszy tegoroczny numer „Prasy Polskiej”, która ukazała się w nieco zmienionej szacie graficznej. Redaktor naczelny, Klemens Krzyżagórski, narzeczcie pokazał dawny pazur (mam na myśli okres, kiedy redagował w Białymstoku znakomite „Kontrasty”). Cały numer do czytania! I dlatego trudno mi omówić poszczególne pozycje, mogę tylko zachęcić do lektury, bo myślę, że teraz pismo będzie łatwiej dostępne i dla Czytelników — nie-dziennikarzy.

Zwracam jednak uwagę redakcji, że — informując o zmianach kadrowych — podała, iż 15 kwietnia 1983 r. Józef Kłisiewicz został powołany na stanowisko redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Prostuje: na stanowisko (aktualnie) zastępcy red. nac.

A tak przy okazji: właśnie 15 kwietnia, ale 1948 roku, czyli przed 35 laty, ja sam „wskoczyłem” na etat w tymże samym „Sztandarze”. A zdaje się, że to było tak niedawno!

Sekretarka „Prasy Polskiej”, wysyłając mi okazowy egzemplarz pisma, też mogłaby sprawdzić w odpowiednich dokumentach i (adresując) nie zmieniać mi imienia na Jan. Owszem, niekiedy pijam wodę ze źródła „Jana”, ale to jeszcze nie powód, by tą wodą ponownie chrzczyć mnie po ponad półwieczu.

27 II. Rubryczka pt. „mini-bzdurnik” w suwalskich „Krajobrazach”:

„Przychodzi facet do lekarza z problemem. — Panie doktorze, ja nieplodny. Ojciec był nieplodny, matka była

nieplodna... — Ciekawe — mówi lekarz. — Pan twierdzi, że rodzice byli nieplodni... No to skąd pan? — Ja? Z Suwałk”.

I druga historyjka: „Dwóch bywalców i znawców polityki rozmawia w Suwałkach: — Słyszal? Znowu partyjnego i sekretarzem wybrali”.

Reklamuję „Krajobrazy”, bo to pismo solidne i uczynne. Zamieściło anons o konkursie „Kamery”, czego dotychczas nie uczynił „Sztandar” (może przeczytałem). Wniosek: im dalej, tym lepsi przyjaciele. Chociaż... przysłowie mówi, że przyjaciel poznaje się w biedzie. Zobaczymy, jak zbiedniejemy. Niektórzy się nawet o to starają.

Caeca invidia est! (Kto nie liczył łaciny, ułatwicz: miłość też jest ślepa!).

29 II. Między „Kurierem Lubelskim” a „Sztandarem Ludu” wynikły kontrowersje na temat studenckiego „Radia Centrum”, które pragnie pobić rekord w nadawaniu własnego programu. Polemiki (za rzadkiej) w prasie lubelskiej bardzo sobie cenię. Tym razem (nie wchodząc w meritum sporu) chcę zaprezentować fragment tekstu podpisanego „wuka” i zamieszczonego w dzisiejszym „Kurierze”:

„Ostrze krytyki red. „sna”, które jeszcze niedawno harcowało w okolicach szamba czując się jak ryba w wodzie, tym razem dosięgło „Radia Centrum”, a poprzez nie studentów...”

Znam dobrze poprzednie publikacje red. „sna”, zwłaszcza z okresu, którego nie można nazwać łatwym. Pamiętam również, jakie to sprawozdanie spichcił w „Kurierze” właśnie „wuka” po sesji zorganizowanej w Chatce Zaka w listopadzie 1981 r. z okazji... mniejsza o to, jaka to była okazja i jakie szambo tam się pojawiło. Niemniej „wuka” harcował wówczas chyba nie gorzej niż ryba w wodzie. Trzeba mu o tym dzisiaj przypominać?

Szanowny „wuka”, nie prowadź polemik na poziomie przedwojennych brukowców i nie obrażaj kolegi, który sam jeden wykazał w swoim czasie więcej rozsądku i odwagi niż Ty i wielu innych dziennikarzy lubelskich razem wziętych!

1 III. Mam przed sobą nadesłaną z Warszawy analizę nadziałów i zwrotów pierwszego tegorocznego numeru „Kamery”. Rząd działu przy otwartej kurtynie, dlaczego nasza redakcja ma postępować inaczej?

Pierwszy numer został dostarczony do kiosków w liczbie 16245 egzemplarzy (prenumeratę mamy niewielką — ok. 1,5 tys. egz.). Zwroty wynosiły 1612 egz., czyli 9,88 proc. Województwa naszego regionu (podaję nazwy stolic województw) otrzymały: Lublin — 9897 egz. (zwroty 7,4 proc.), Biała Półdla-

ska — 670 egz. (zwroty 21,6 proc.), Chelm — 1010 egz. (zwroty 11,2 proc.), Zamść — 2153 egz. (zwroty 11,2 proc.).

„Kamery” w bardzo ograniczonych ilościach egzemplarzy dociera do wszystkich województw poza... Skierniewicami (dlaczego tam nie — to tajemnica „Ruchu”). Stosunkowo najwięcej „Kamery” biorą Katowice (195 egz. — 7,7 proc. zwrotów), następny jest Szczecin (175 egz. — 28 proc. zwrotów), dalej — Warszawa (174 egz. — 15,5 proc. zwrotów), potem Tarnobrzeg (147 egz. — 15,6 proc. zwrotów), Gdańsk (132 egz. — 25 proc. zwrotów) i... Legnica (120 egz. — 5 proc. zwrotów). Ani jednego egzemplarza zwrotów nie zanotowano w następujących województwach: piotrkowskim, opolskim, konińskim, zielonogórskim, ciechanowskim, ostrołęckim, plockim i piskim.

Dlaczego przytaczam te dane? Po prostu widzę rezerwy nakładowe i chciałbym nimi bliżej zainteresować dział wydawniczy Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego a także PUPiK „Ruch” w Lublinie. Na bieżący rok „Kamery” ma ustanowiony limit zwrotów w wysokości 20 proc. nadziałów. Jeżeli do takiego np. Sieradza trafi jeden egzemplarz „Kamery” i nie zostanie on sprzedany, zwroty wynoszą 100 proc. I co? Wówczas z Sieradza całkiem się rezygnuje? Zielona Góra zaś otrzyma 66 egzemplarzy, wszystkie sprzeda, ale z tego wcale nie wynika, że następnym razem otrzyma tych egzemplarzy 100! I wreszcie konia z rzędem temu, kto mi wytłumaczy, dlaczego turystyczna Jelenia Góra (dlaśnianie jej nie odwiedzają?) ma 35 „Kamery”, a Legnica 120? Dlaczego Łódź ma jedynie 27, a Włocławek 52? Dlaczego Wrocław (przynajmniej: całe województwo!) ma 56 a Krosno 86? itd., itd.

Będę bardzo rad, jeśli Czytelnicy spoza województw naszego środkowo-wschodniego regionu napiszą, czy mają trudności z nabyciem „Kamery”? Czy każą poszczególne numery wkładać do teczek w kioskach „Ruchu”? Czy kupują pismo od przypadku do przypadku? Czy istnieje wreszcie możliwość zjednięcia nowych Czytelników? wśród ich przyjaciół i znajomych? Proszę o to, bo od czasu do czasu otrzymuję sygnały, że tu czy tam w ogóle nie można nabyć „Kamery”. Staramy się pomagać, niekiedy — jeśli mamy w zapasie — przesyłamy nawet te egzemplarze, o które chodzi Czytelnikom, ale przecież redakcja nie jest przedsiębiorstwem kolportażowym! Zwroty, niestety, szybko idą na przemiał. Szkoda: można by na nie sprzedanych egzemplarzach przybić pieczęć „Egzemplarz okazowy” i wysyłać je pod adresami prenumeratorów innych czasopism, zbliżonych tematycznie. W tych samych opakowaniach! Reklama jest dźwignią handlu!

Mam na myśli „Kamery”, ale identycznie można przecież zrobić i z „Nadodrzem”, i z „Opolem”, i z „Profilami”, i z „Przemianami”. Z każdym pismem! W całej Polsce! Praca niewielka, a efekty mogą być duże.

Za pomysł nie czekam na premię od prezesa Zdzisława Andruszkiewicza.

I jeszcze jedno: 18 egzemplarzy pierwszego numeru „Kamery” wyeksportowano za granicę. Niestety, brak danych dotyczących... obszarów płatniczych.

4 III. W kalendarzu — Kazimierza w tym dniu Ojciec obchodził imieniny. Pamiętam te spotkania w skromnym mieszkaniu przy ul. Parkowej. Niemal zawsze odwiedzał wówczas Ojca: Konrad Bielski i Waław Gralowski, niekiedy bywała Maria Bechcyc-Rudnicka. Nie kiedy, bo był okres, nie tak krótki zresztą, w którym oboje nie utrzymywali żadnych stosunków towarzyskich. (Może przyjdzie czas, że opiszę to szerzej: będzie to stanowiło przyczynek do odbudowania historii w lubelskim wymiarze). Od czasu do czasu przyjeżdżali z Warszawy m.in. Wit Kasperski i Zdzisław Popowski, wierni uczniowie KAJ-a. Wymieniam te nazwiska, bo wszyscy, o których mowa, odeszli już w krainę wiecznych łowów. Dobrze, że Leszek Gnot dopominał się w piątkowym „Sztandarze Ludu” o serdeczniejszą pamięć dla „Drogich Nieobecnych”. Czasem ta serdeczniejsza pamięć przydałaby się i „Drogim Obecny”, ale my w Lublinie na ogół zbytbytną zyczliwość nie przeszyjemy. Jeden z członków kierownictwa miejscowej gazety w rozmowie ze mną nazwał dziennikarzy z „Kamery” arystokracją. W Anglii można by to potraktować jako komplement. Ja to przyjąłem inaczej, ale niech mu tam! Zresztą papiery szlachetnie mam w porządku, nie kupiłem ich na bazarze, ale i na bazarze ich nie sprzedam. Dowodzą one jednego: moi przodkowie mocno byli zakorzenieni na Ziemi Lubelskiej, choć do grona arystokratów w dosłownym znaczeniu tego słowa i tak im było jeszcze bardzo daleko! Oczywiście mój rozmówca nie taką arystokrację miał na myśli. (Gdybym był młodszy, zapytałbym: a może się zamienimy?).

Przed południem w telewizji sprawozdanie z meczu bokserskiego Polska—RFN. Miejsce: Gdańsk, sala „Oliwii”. Wygraliśmy, ale w jakim celu polscy sędziowie na siłę przyznali zwycięstwo Henrykowi Średniekiemu? Już niejednokrotnie krytykowano, że walki bokserskie ocenia tylko trzech sędziów, a nie pięciu. Tym razem do Gdańska nie dojechał sędzia neutralny — Bułgar, werdykt w walce, o której mowa, wydało dwóch sędziów polskich i jeden RFN-owski, którego przegłosowano, ale na szczęście, obiektywna publiczność gwizdami wyraziła swój sprzeciw.

Z bokserami z RFN i tak byśmy wygrali, ale to zwycięstwo zbyt cieszyc się powinno. Poziom spotkania był słaby, nasz boks nadal znajduje się w regresie.

Niedziela w telewizji przebiegała pod znakiem sportu. Po południu obejrzelśmy sprawozdanie z halowych mistrzostw Europy w Goeteborgu. Zabrakło czołowych reprezentantów NRD i ZSRR, którzy na mistrzostwach w Budapeszcie wywalczyli aż 12 z 22 tytułów. Teraz polscy zawodnicy zdobyli dwa złote medale — oba w biegach na 60 m ppł. W porównaniu z Sarajewem to jest coś! Bardziej ucieszył mnie jednak brązowy medal Danuty Bulkowskiej, która skoczyła na wysokość 1,95 m, bijąc nie tylko halowy rekord Polski. Może będziemy mieć jeszcze z niej pociechę?

W sumie mistrzostwa te (kadłubowe) wypadły jednak blado, chociaż francuski duet w skoku o tyczce (5,85 m, próba na wysokości 6 m!), nadal imprezie rumieńców.

M. A. Jaworski

W następnym numerze:
Czesław Bobrowski
o Władysławie Gomułce

ŚWIĘTO WIELBŁĄDA

— I co z kwiatkiem na Dzień Kobiet?

Barbara Czarecka, sekretarz Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet Polskich w Lublinie: — Właśnie, wszystko sprowadza się do kwiatka. Przy okazji akcja przeciw badylarzom i świętowanie. Zapomina się natomiast, że Dzień Kobiet miał upamiętniać walkę o byt i równouprawnienie robotnic.

— Więc jak będzie?

— Będzie sesja „Kobiety polskie w walce o niepodległość i postęp społeczny”, będą wystawy. Nie będzie imprez, które kobiety zrobią same dla siebie, bo po co?

— Między nami mówiąc, śmieszne jest to pociąganie święta. Zwłaszcza iż coraz więcej mężczyzn objawia tak kobiece cechy i reakcje, że ich właśnie byłoby przyjemnie obdarować symbolicznym kwiatkiem. Ale czy jest możliwy powrót do idei, które zrodziły Święto Kobiet?

— Dorównać idei zawsze jest ciężko. Ostatnio był dobrobyt, więc zajęliśmy się domem. Nie trzeba było myśleć o walce o byt, ani o równouprawnieniu, które jakoś tam można było dogadać. Teraz ginie w roztopach kryzysu. Nie jest jednak aż tak źle, jak wtedy nie było tak dobrze. Ponieważ dom opiera się na kobiecie, a rodziny tworzą naród — kobiety wciąż mają o co się bić. Narosło wiele społecznych nienormalności, choćby takich jak rozdzielanie się generacji pokoleniowych w rodzinach, co powoduje wiele wątpliwości moralnych, np. dotyczących opieki nad ludźmi starszymi. Czy nie można, czy nie stać nas na utrzymanie rodzin wielopokoleniowych? Lub inna sprawa dotycząca boomu macierzyńskiego. Kiedyś kobieta wielodzietna pochodziła ze wsi, teraz jest to kobieta z miasta. Nie odmawiając jej prawa do tego co jest jej powołaniem, trzeba pomyśleć, że urlop wychowawczy kiedyś się skończy i będzie musiała wrócić do pracy, gdzie tymczasem jej aktywa zawodowe spadły.

— No tak, ale kto wierzy w Ligę Kobiet? Mówi

się o niej z półśmiechem, podobnie jak my teraz o kwiatku dla Ewy. Nie wiadomo, czy tej pobłażliwości winne są wściekle sufrażystki jeszcze z Armii Zbawienia, czy powojenne herod-baby, wymachujące upierścienioną pięścią. Czy o sprawach stowarzyszenia wyższej użyteczności, jakim jest Liga Kobiet Polskich, można poważnie mówić, widząc ten krotkochwilny odbiór?

— Mówić trzeba, nawet jeżeli deprymuje tzw. męskie spojrzenie i męskie ocenianie, albo nawet i koedukacyjny front odmowy kredytu zaufania. Trochę przysłużyło się nam pokolenie pań nazbyt przejmujących się swoją rolą, zwanych ligawkami. Teraz przychodzą do nas młode dziewczyny, kompetentne i zwyczajne, więc jest inaczej.

— Być może to pobłażliwe spojrzenie na Ligę wynika z przeświadczenia, że kobiety na emancypacji przegrały. Stały się bardzo fachowe, ostre, w codziennym pośpiechu zatraciły ciepło i zapomniały o powolnych spojrzeniach, bo po pracy mają jeszcze etat w domu i są po prostu zmęczone. Więc gdzie ta emancypacja?

— Właśnie? W Lidze Kobiet Polskich też są panie bardzo wyemancypowane, ale w domu ciągle bez praw, ciągle w dyskryminacji. Osiąganie partnerstwa w rodzinie, to bardzo subtelna materia.

— Uwzględniając zawodową pracę kobiet, ich obowiązki w domu i dodając do tego tzw. wychowywanie męża — można poczuć się wielbłądem. Która to przetrzyma, jeżeli nie ma odpowiedzialnego udziałowca w spółce małżeńskiej, albo przynajmniej pantoflarza?

— Między nami mówiąc, nie umiemy też godzić obowiązków. Pani wie, ile ja się nauczyłam prywatnie w Lidze Kobiet Polskich? Czasem dobrze jest wziąć jeszcze jeden obowiązek, żeby móc racjonalnie dzielić czas.

— Czego teraz można nauczyć się od Ligi?

— Ogłaszamy kursy przeróbek, nie ma chętnych. Wszyscy chcą kursy kroju i szycia. Mówimy o racjonalnym żywieniu, polegającym na zagospodarowaniu każdego białka, zwłaszcza że mięso na

kartki — skądże, jeżeli kurs, to pieczenie. I jest tak, że kobiety mówią: już nie wiem, co robić na kolację. Albo ciężko pracująca kobieta kładzie na stół chleb i kawałek kiełbasy i jest jej wszystko jedno, czym nakarmi rodzinę jutro, co zdąży zrobić jeszcze przed snem.

— Życie mimo podwyżek i powolnego ubożenia społeczeństwa będzie wkrótce wymagało nauk pomocniczych odpowiadających na pytanie — jak się nie dać?

— Pani się śmieje, ale to efekt lat siedemdziesiątych. My nie mamy nawyku cerowania. Wciąż jeszcze kupi pani książkę nie sweter. Wcale nie śmiałybym się ze zdobywania umiejętności, jakie czekają w Lidze. Na przykład pielęgniarce ze Studium Medycznego w Lublinie, które zajęły się oświatą zdrowotną w domach dziecka, nauczyły tam dziewczynki strzyć modnie włosy i dbać o cerę. To jest mało ważne?

— Można powiedzieć, że Liga Kobiet Polskich opiera się na silnych, żeby zatłoczyć sprawy słabych. Jedne panie wyżywają się w pouczaniu, inne ocierają łzy i postanawiają dać sobie radę. Czy ten stereotyp nie ciąży waszej działalności?

— Utało się, że Liga Kobiet Polskich wyciąga biednych, popycha sprawy alimentacyjne itd. Ale my nie możemy zastępować sądów, ani organizacji zajmujących się pomocą społeczną. Z tym, że takich potrzeb jest bardzo dużo i rzeczywiście kojarzymy się z interwencją. Lecz to tylko fragment naszej działalności.

— Podobno do Ligi zaczęli zaglądać mężczyźni?

— Bo my chronimy rodzinę, a więc i mężczyzn. Nie chwaląc się, na wniosek Ligi mężczyźni zdobyli prawo do urlopu wychowawczego. Od spraw typowo kobiecych jest ginekolog. Dlatego mężczyźni uczą się u nas gospodarstwa domowego, szkolenia intendentów, kucharzy kolonijnych, masarzy...

— Ale w zakładach pracy Liga Kobiet Polskich przyjmuje się z trudem?

— Weszliśmy tam po niechlubnych komisjach kobiet CRZZ, w roku 1981. Czy to dziwne, że patrzy na nas nieufnie i z dezaprobatą?

— Właśnie w zakładach pracy Liga mogłaby wrócić do ożywienia idei walki o byt i równouprawnienie robotnic.

— Kiedy do nich przychodzimy, nabierają wody w usta.

— Tak wróciliśmy do początku rozmowy, ale żeby ją jednoznacznie zakończyć — nie potrzebujemy kwiatów na Dzień Kobiet, tak?

— Nie potrzebujemy.

Rozmawiała: Anna Bocian

Ci brzydcy mężczyźni o pięknych kobietach

Felicjan Faleński

Mniej grzeczni Mędrcy przedwiekowi
Drżeli przed słabszą płci urokiem,
Bo, w przekonaniu ich głębokim,
Ma słuszość, kto się zastanowi:
Ze już pierwszemu człowiekowi
Kobieta wyszła bokiem.

Benedykt Hertz

CZTERY RODZAJE MIŁOŚCI

Gdy się w mądrej kocha głupi,
Obietnicą jej nie kupi,
Ledwo szepnie: „Ja cię lubię” —
Już po ślubie.

Gdy się głupia w mądrym kocha,
On jest łajdus, ona — płocha.
Zmyka on, zostaje ona —
Uwiedziona.

Gdy się mądry z mądrą spotka,
Chwila im upłynie słodka;
A gdy czas tę słodkość nadje,
Mówią: „Adje”.

Jeśli głupi są oboje,
Zaraz wiersze i nastroje...
Ona marzy... „Luby... weź mnie”...
A on nie śmie.

Stanisław Jerzy Lec

O PEWNEJ GWIEZDZIE FILMOWEJ

Wzdychał do ciebie mój nieboszczyk dziadek,
do twojego czaru i obfitych wzruszeń,
i twoją sławę dostał jako spadek

ojezulek po nim, mój drogi staruszek,
I ja, twą „fotkę” gniołąc pod poduszką,
grzeszne rojenia holubiłem w łóżku.

Mój syn do ciebie parne wiersze pisał
i u mnie rymów do twoich kształtów szukał.
I dziś z ekranu jako jastrząb zwisasz
nad głową mego najmłodszego wnuka.
Patrz! Wiednie róża, zdycha nawet słowik!
Ach! Nie truj życia chociaż prawnukowi.

Rodoć

(Mikołaj Biernacki)

TO ZOBACZYMY

Raz do konfesjonatu
Przyszła niewiasta młoda;
Zbliżyła się pomatu,
Krew z mlekiem jej uroda.
W konfesjonale drzymie
Bernardyn — ojciec Łatka:
Zbudzony, pyta: „imie?”
Czy panna czy mężatka?”
„Panna”, odpowie szczerze
Gapiątko pełne tremy.
Ksiądz puknął w tabakierę
I rzekł: „To zobaczymy”.

Jan Smolik

O DOROCIE

Wesołym dosyć z ochoty,
Skoro się dotknę Doroty.
Zaraz precz wszystkie kłopoty,
Gdy siedzę podle Doroty.
Fraszka złota i klejnoty,
Gdy legę podle Doroty.
Zgola wszystko jest, prócz cnoty,
U mej szlachetnej Doroty.

Leopold Staff

DO...

Zabraniasz pisać o słowiku,
O księżycu i różach,
Bo to są rzeczy pono blade,
Marne i wiersza niegodne...
Wątpliwosc we mnie się budzi:
Gdyby dwoje mądrych ludzi
Nie przechadzało się kiedyś
Cichym wieczorem, dłoń w dłoni,
Po księżycu, wśród róż woni,
Przy słowika słodkim flecie,
Czy byś istniał dziś na świecie?

Tadeusz Wittlin

PODSTĘP REDAKTORA

Przyszła do mnie grafomanka
Z tomem groźnych wierszy.
Rzekłem: „Tam jest otomanka,
Rozbierz-że się, grafomanko!”
Gdy skończyła się sielanka,
Odsapnąwszy pierwszą,
Rzekłem: „Odejdź, grafomanko”,
Nie drukuję wierszy!”

(Wiersze bardziej frywolne na str. 14).



Rys. Wiesław Fuglewica

kamena

LADDA

Bożena Wasilewska

W CO najbardziej lubią się bawić małe dziewczynki? Oczywiście „w dom”, „w sklep” i „w szkole”. Czy te dziecięce zainteresowania zostawiają jakiś ślad w psychice kobiecej i przyczyniają się do późniejszej decyzji o wyborze zawodu — nie wiem. Faktem jednak jest zdominowanie przez kobiety handlu.

Lubelskie sklepy, poza nielicznymi wyjątkami, prowadzone są przez dwa duże przedsiębiorstwa: Lubelską Spółdzielnię Spożyców i Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego. Pierwsza instytucja, oprócz działalności produkcyjnej i usługowej, zajmuje się handlem w swoich 346 sklepach, druga oferuje towary w 145 placówkach. Za ladami LSS-u stoją kobiety, bo na 2200 osób zatrudnionych przy sprzedaży — 2165 to ekspedientki. Należy sądzić, że mężczyznom nie odpowiada krojenie sera i ważenie cukierków. Trochę inaczej jest w WPHW; zajmuje się ono sprzedażą artykułów przemysłowych i na 1300 osób pracujących w sklepach kobiety stanowią 85 proc.

Na co narzekają ekspedientki? Wbrew przypuszczeniom, wcale nie na klientów, aczkolwiek mają do nich bardzo wiele zastrzeżeń, ale na wyrwane z środka dnia godziny pracy (od 10 lub 11 do 18 lub 19), co niezwykle utrudnia prowadzenie domu i opiekę nad dziećmi oraz na niskie pobory. Średnia płaca w handlu, bez rekompensat, kształtuje się na poziomie 9500 zł, najniższa 6500 zł, a najwyższa 16 000 (w przypadku kierowników).

Stosunek nas, klientów, do ekspedientek jest tak różny, jak i sami jesteśmy odmienni. Bywamy mili, sympatyczni, onieśmieleni, uprzedzająco grzeczni, ale i arogancy, głośno domagający się swoich racji, a niekiedy i wulgarni. A jak nas widzą one, kobiety zza lada, które, jak my, bywają także klientkami, a więc kłopoty zaopatrzeniowe też ich zupełnie nie omijają.

W sklepie osiedlowym przy ul. Nalkowskich „temperatura wzrasta” w godzinach popołudniowych. Już od godz. 15 ustawia się kolejka emerytów, rencistów i matek z dziećmi. Czekają godzinę, bo o 16 zawsze „coś atrakcyjniejszego można dostać”, nieraz jest to herbata, z rzadka kakao lub kawa. Dawniej stano po kisielu, budynie, proszku do pieczenia, teraz można je nabyć już bez większych kłopotów. Gdy wreszcie zacznie się sprzedaż kupuje się dotąd, dopóki wszystko czego zwykle nie ma, zniknie z pojemników. Niekiedy matka z małym dzieckiem usiłuje „zalać się na coś” omijając kolejkę i podchodząc z drugiej strony kasy. Nieraz się to udaje, najczęściej nie — kolejkowiczki są bezwzględni i czynią własny porządek. Wystawca pod sklepem to pani może, a stanąć w normalnej kolejce — za ciasto”. Ekspedientki nie reagują na scysje — nie chcą dowieść oliwy do ognia. Towar się kończy, klienci się rozchodzą.

— Ludzie są różni, spokojni, kulturalni, ale i arogancy. Cóż, nie ma się czemu dziwić, kiedy człowiek wracający po szesnastej z pracy nie może kupić herbaty czy też czegoś innego, bo każdy deficytowy towar jest natychmiast wykupywany przez emerytów i rencistów, tudzież inne osoby, które zaraz pod sklepem oferują go po dwukrotnej cenie. W ostatnich miesiącach obserwujemy przecież wyciszenie emocji i konfliktów. Więcej jest artykułów w sprzedaży, a poza tym chyba wszyscy przyzwyczailiśmy się do nienormalnego handlu... Marzę o tym, żeby tak sprzedawać jak to było kilka lat temu. Nam było łatwiej i klienci byli zadowoleni. Proszę spojrzeć na te przemęczone dziewczyny — mówi kierowniczka sklepu pani Walentyna Kalinowska, wskazując ekspedientki pracujące przy stoiskach z nabiałem i mięsem — one naprawdę ciężko pracują.

Pani Halina od szóstej rano stoi przy ladzie, waży pakuje, wycina kartki, od czasu do czasu taszczy nowy towar z magazynu.

Pani Zosia sprzedająca mięso była w sklepie już przed szóstą; przyjmo-

wała dostawę pieczywa i mleka. Wstała pół do piątej. Ma dwoje dzieci. Starszy syn chodzi do szkoły, młodszego trzeba zaprowadzić do przedszkola. Czterolatka wyprawia maż, bo ona za wcześnie wychodzi z domu, ośmiolatek idzie sam. Latem dzieci mają lepiej; rano jest już widno i ciepło.

Pani Zosia jest silna i musi być silna, by energicznie machać siekierą przy rozbijaniu zamrożonej wołowiny. Po kil-



Fot. Waldemar Stępień

ku godzinach noszenia i ważenia mięsa boją ją nogi, ale ręce już nie — przyzwyczaila się. Szarofioletowe pręgi na łydkach są coraz bardziej widoczne. Co ma jeszcze dziś zrobić po pracy? Zabrać dziecko z przedszkola, umyć brudne naczynia pozostawione w zlewku, posprzątać poranny bałagan, ugotować obiad na jutro i zanieść sukienkę do krawcowej. Pranie zostawi na sobotę. Filmu w telewizji oglądać nie będzie, szkoda czasu, trzeba położyć się wcześniej spać, niech nogi odpoczną.

Sprzedaż kartkowego mięsa. To już nie to, co było w 1981 i 1982 roku, kiedy ceny były niskie. Nie te ceny, nie te konflikty, nie te kolejkę. A jednak nerwówka po obu stronach lada. Denerwują się one — bo muszą skrupulatnie dzielić, ważyć, liczyć kartki i pieniądze, słuchać kolejkowych sprzeczek i awantur, a my — bo chcemy kupić to, co nam potrzeba i możliwie szybko. Spieszmy się, zapominamy zabrać resztę, a nawet niekiedy i kupione mięso. Awantura gotowa. Klientka, która nie wzięła z lada zapłaconej polewicy, wraca do ekspedientki i po wielkiej kłótni odnajduje zgubę pod nogami kolejkowiczów. Było i tak (sklep mięsny przy ul. Przyjaźni), że zapomniana przez kogoś wędlinę zabrała oficjalnie jedna z kupujących stwierdzając, że nie odda jej ekspedientkom, bo one i tak mają za wiele. Po czym spokojnie ze swoim łupem wyszła ze sklepu... Co bardziej energiczni starszakiowie wypychają z ogonka zawstydzone swoim stanem brzemienne kobiety twierdząc, że w kryzysie dzieci nie powinno się rodzić. Taka, a nawet gorsza, jest rzeczywistość kolejkowa obserwowana przez sprzedawczynię.

Nie samym chlebem i mięsem... Do życia potrzebne są także inne artykuły. Jedne kupujemy bez kłopotu, bo drugie — wyczekując godzinami

przed drzwiami sklepów. Co najtrudniej nabyć? Gotowy spis takich artykułów to lista przedmiotów, które przeznaczone są dla młodych małżeństw, np. meble, sprzęt zmechanizowany i radiofoniczny. Ekspedientki zatrudnione przy ich sprzedaży mają podwójną robotę — sporządzanie list zapisów, zawiadomienie klientów o terminach odbioru, wypełnianie mnóstwa papierków i na końcu przeprowadzenie transakcji.

Sprzedaż w tych sklepach odbywa się niejako dwoma nurtami — dla młodych małżeństw i „dla reszty”. Młodzi mają łatwiej, zapisanie się gwarantuje im otrzymanie towaru. To też czekają, wybierają, nie chcą brać byle czego. Zwlekają z odbiorem, co do pasji doprowadza ekspedientki, bo towar leży w sklepie, a nieuprzywilejowani przychodzą i złość ich skupia się na sprzedawcy — „bo ma, a nie chce dać”. Denerwują klientów i handlowców sytuacje anormalne, powstałe wskutek braku rozeznania zapotrzebowania rynku i braku rozsądku u ludzi decydujących o zasadach sprzedaży. Młode małżeństwa nie chcą kupo-

Gdy brakuje piwa, nie ma zgody męża z żoną.

(etiopskie)

Morys, kierowniczka sklepu przy ul. Buczka.

W tym sklepie jaskrawo uwidacznia się ludzka podejrzliwość i zachłanność. Klienci wielokrotnie sprawdzają kolejność zapisów, zarzucają sprzedawcy spekulację.

— Co pani ukryła? — pytają. Toż ja bym sama chętnie ukryła się pod ladę, gdy klient grozi mi, że w nocy powybija szyby w sklepie i zdejmie z choinki na wystawie żaróweczki, bo nigdzie nie może ich kupić. Ludzie atakują nas słowami, nieraz takie zajście musi rozstrzygnąć kolegium, ale i nawzajem siebie nie oszczędzają. Zdarzyło się, że pokaleczono człowieka, który usiłował kupić bez stania w kolejce. Wolna sprzedaż to jeden koszmarny, po kilkunastu minutach towaru nie ma. Staramy się nie odpowiadać na zaczepki, żeby nie prowokować a-

wać małych lodówek, które są, dużych natomiast jest niewiele. Młodzi czekają więc miesiącami na dostawy tych większych. Tymczasem cała reszta klientów, którzy chętnie zakupiliby i te małe, ma pretensje do ekspedientek, bo towar zagraca sklep, wabi oko, a nie można go kupić.

Podobnie jest w innych placówkach handlowych.

— Czasy nie sprzyjają kulturalnej obsłudze — mówi Janina Kieszo, pracownica sklepu meblowego przy ul. Szopena. — Nam zależy na spokojnej pracy, ale klienci tak się zachowują, że i nam niekiedy „nerwy wysiadają”, chociaż obowiązkowo sprzedawcy jest zachowywać „zimną krew”. Mrozi mnie, gdy idę do pracy i widzę 200-osobową kolejkę, a wiem, że w sprzedaży będzie kilka lub kilkanaście kompletów.

Kiedy w sklepach jest wolna sprzedaż, zarówno w meblowym jak i w tym ze sprzętem zmechanizowanym, łokcie pracują, lada trzeszczą, a ekspedientki wypisują paragony na wszystko, jak leci.

— Wykupowana jest od razu cała dostawa. Wszystko. Dlatego teraz w każdym kliencie widzę spekulanta. Zresztą, to widać. Pralka czy lodówka, żelazko czy maszyna do szycia — bardzo często sprzedawane są od razu pod sklepem lub konwojenci otrzysują inny adres transportu, niż ten widniejący na dokumencie sprzedaży. Anormalna sytuacja wytworzyła anormalne kupowanie i spekulację. Bo na co młodemu małżeństwu potrzebna jest kuchnia gazowa, skoro warunkiem otrzymania kredytu jest posiadanie mieszkania, które zostało już w nią wyposażone? Tracą ludzkie godność, żeby zarobić; takie jest moje zdanie — stwierdza pani Helena

wantur. Ale cóż, wzywano nawet milicję, by szukać rzekomo ukrytych towarów — kontynuuje Helena Morys.

Należy też wspomnieć o sprawie, która dla nas, klientów, i dla sprzedawców jest szczególnie drażliwa i bulwersująca. Myslę o zakupach czynionych przez inwalidów wojennych. Bezsporne i nie podlegające żadnej dyskusji jest ich pierwszeństwo przy ladzie sklepowej. Są to ludzie, którym wiele zawdzięczamy i zbyt duże ponieśli ofiary, żeby kazać im stać na końcu kolejki. Jęgnakże na niektórych z nich czas kryzysu i niedostatku wywarł wpływ, delikatnie mówiąc, nienaturalny. Zbyt częste wykorzystywanie legitymacji inwalidów wojennych przy zakupie dóbr nie pierwszej, a może nawet i nie drugiej potrzeby, i w większych ilościach, powoduje, że społeczeństwo zaczyna tracić szacunek dla ludzi, którzy kiedyś ryzykowali życiem dla lepszej przyszłości. Teraz głośno upominają się o regały, prakki automatyczne, drogie komplety wypoczynkowe — nie stojąc w kolejce. Dla kogo? Przecież do swojego mieszkania kupuje się po jednym komplecie... A w sklepie bywa kilka zestawów, kilku inwalidów i kilkudziesięciu innych klientów.

Na koniec powróćmy znów do pań zza lada. Jednym z wyznaczników oceny ich pracy jest liczba wniesionych przez klientów skarg. Okazuje się, że na tę liczbę sklepów, jaka mamy w Lublinie, nie jest ich wiele dużo — zarówno w LSS-ie, jak i w WPHW. W porównaniu z poprzednimi latami, w 1983 roku liczba skarg znacznie nawet zmalała. Więcej jak to jest: czy ekspedientki lepiej pracują, czy my już zostaliśmy uodpornieni, chociaż nadal nagminnie „zwalniamy je z pracy”, oczekując od nich zarazem, że będą miłe, uprzejme i sprawiedliwe dzielące dostarczone im dobra?

MIESZKAJA po cztery, czasem pięć, w pokojach domów studenckich. Wnoszą do tego ich wspólnego życia swoje wady i zalety, wyniesione z domów rodzinnych przyzwyczajenia... Każda stara się być inna, ale wszystkie marzą o wielkiej, romantycznej miłości, dążą do jakiegoś celu.

MAGDA. Pochodzi z niewielkiej wsi, gdzie na południu Polski. Jej rodzice całe życie ciężko pracowali, by wychować dzieci na uczciwych ludzi. W domu nigdy się nie „przelewało”. Dlatego Magda wie, że musi jak najszybciej skończyć studia i zacząć pracować. Teraz żyje ze stypendium i tego, co od czasu do czasu dadzą rodzice.

Magda jest oszczędna i gospodarna. Nie nosi kiecek z boutique'ów, ani nie wyjeżdża co roku na wczasy do Bulgarii. Lato spędza w domu, przy żniwach. Czasem tylko z lekką zazdrością słucha opowiadań koleżanek o zagranicznych wozach.

W akademiku mieszka od początku studiów. Zdażyła już nawyknąć do samotności w tłumie, do warunków tego specyficznego życia. Nie może się tylko jeszcze przyzwyczaić do tęsknoty za domem, do którego jeździ tak rzadko... Magda ma jedno wielkie marzenie: skończyć studia, wyjść za mąż za leśnika i mieć dom z dużymi okiennicami.

— „Najgorzej to jest z tym kandydatem na męża-leśnika” — wzdycha. Co prawda miała już kiedyś nawet upatrzony odpowiedni „obiekt”, ale nic z tego nie wyszło... Nie traci jednak nadziei, bo wie, że i tak dopnie swego. Bo gdy Magda uprze się, to nie ma przeszkody, której by nie pokonała. Kiedyś „darta koty” z Anką, z którą wspólnie mieszkała. Nie było wtedy dnia bez większej scysji. Każdy powód był dobry: urwany sznurek do bieleziny, rozrzucone ciuchy, brudne gary. Anka też była uparta, ale w końcu nie wytrzymała i wyprowadziła się do innego pokoju. I od razu zrobił się porządek.

Magda nie znosi bałaganiarstwa. Do szalu doprowadzają ją brudne szklanki i talerze stojące na stole. Te tygodniowe dyżury to też z jej inicyjatywy. Na początku dziewczyny krzywiły się, ale w końcu same uznały, że jest to najlepsze wyjście.

Magda rzadko chodzi na imprezy. Bo i po co? Wódki nie lubi, papierosów nie pali, a czeza gadanina ją nuży. Woli wcześniej iść spać i wstać o szóstej, tak jak to robiła w domu. Dziewczyny jeszcze śpią, a ona ma czas na przygotowanie śniadania dla wszystkich. Za to śniadanie dziewczyny cenią ją, choć w duchu uważają za dziwaczkę. Ale jej to nie przeszkadza, bo kto by się tam przejmował takimi drobnostkami?!

Najprzyjemniejsze chwile w życiu Magdy są wtedy, gdy przychodzi z domu paczka albo list. Tęsknota odżywa w duszy ze zdwojoną siłą i w nocy Magda długo nie może zasnąć. A kiedy wstaje świt, znów robi śniadanie, budzi dziewczyny i zaczyna kolejny dzień...

EWA. Ubrana w pewexowskie ciuchy, śniadło kroczy przez życie. Jej ojciec prowadzi tzw. „prywatną inicjatywę”, co nie przeszkadza jej mieszkać w akademiku i pobierać miesiąc w miesiąc nie najniższe stypendium. Ewa wychodzi z założenia, że powinna używać życia, póki jest młoda, bo gdy się zestarzeje, nie będzie co wspominać. Dlatego też nosi najmłodniejsze kiecki, a jej szafka w akademiku nie domyka się z powodu ich nadmiaru. W dodatku nigdy nie wie, co gdzie ma — gdy trzeba coś znaleźć, przez pokój przechodzi istny tajfun.

Nie to jest jednak największym powodem do zmartwień. Zresztą może opowiedzieć wszystko od początku.

Studiowała wcześniej na innej uczelni. Tu przeniosła się z tzw. „powodów osobistych”. W czasie wakacji poznała bowiem cudzoziemca, studiującego właśnie w tym mieście. Oczarował ją jego ciepły głos, miły, chłopięcy uśmiech. Od pierwszej chwili, gdy go zobaczyła, była pewna, że spadł z nieba tylko dla niej...

Na początku to on był nawet trochę zdziwiony i zaskoczony, gdy ją zobaczył, ale potem to chyba się cieszył. Przez kilka miesięcy było wspaniale! Teraz wszystko się zmieniło. A może

tylko się jej tak wydaje?... Chociaż mówi, że ją kocha, stale widuje go z jakąś dziewczyną. Czy jest od niej ładniejsza? Chyba nie, ale to wszystko coraz bardziej się komplikuje. Ewa ciągle wierzy, że on wróci do niej i czeka... W końcu coś jej innego pozostaje?

Nawet nie może się na niego długo gniewać. Zaraz potrafi ją rozbroić swoją nieporadną polszczyzną. No bo czy można się dąsać, gdy ktoś powie do Ciebie: „Ty być klameczucha jeden?”

A jednak to śmieszne, jak dziewczyny potrafią „lecieć” na pieniądze. Gdy

pali się do dwunastej w nocy i dwa razy dziennie gotuje wodę na herbatę.

Ale znaleźć miejsce w akademiku nie było łatwo. To był już grudzień i tylko cud mógł sprawić, by coś się zwolniło. Wreszcie Majka „wydreptała” to miejsce i pod koniec miesiąca mogła się wprowadzić.

Dziewczyny przyjęły ją mniej niż życzliwie, czemu się nie dziwiła, bo wiedziała, że „trzymały” to miejsce dla swojej znajomej, której nie udało się przejść przez sito egzaminów, łącznie z „komisem”. Patrzyły więc na Majkę tak, jakby to ona była temu winna.

Naprzeciw klasztoru męskiego stoi klasztor żeński. Nie ma w tym nic złego, ale może być.
(chińskie)

jeżdżała do domu, całe dnie przesiadywała w czytelni albo na zajęciach. Wiedziała, że dziewczyny uważają ją za kujona, ale starała się o tym nie myśleć. Rozstała się z nimi bez żalu i z ulgą.

Na studiach nauczyła się nieufności wobec ludzi, ukrywania swoich uczuć i liczenia tylko na siebie. Dzięki temu może swobodnie żyć odrębnym życiem

KLASZTOR?

Malgorzata Szalast

tylko widzą faceta nadzianego forsy, nie ustają w swoich wysiłkach, aby go zdobyć.

Nie, Ewa nie zalicza siebie do nich. Ma własnych pieniędzy pod dostatkiem i „zielone” nie są w stanie zawrócić jej w głowie. Pragnie tylko jednego — jego miłości. Brzmi to nieco przesadnie i śmiesznie, jak z taniego melodramatu, ale czyż to jej wina?

Nie, nie żałuje, że się przeniosła, chociaż... czasami... Zresztą, szkoda gadać, co było — minęło... Bywają tylko czasem dni, że Ewa pragnie zapomnieć się w sobie. Nie opuszcza wtedy żadnej imprezy, umawia na randki, szaleje, kupując fatalaszki. Po dwóch, trzech dniach przychodzi opamiętanie i rozgorączczona, wszystko zaczyna od początku. Ale cożaz częściej pyta samą siebie — „No i czy to ma sens?”

MAJKA. Jej współmieszkanek wiedzą o niej bardzo mało. Ona sama nigdy nie mówi o sobie. Za to wie prawie wszystko o innych. Dlaczego? Ot, po prostu, wróży dziewczynom z kart. Przychodzą do niej ze swoimi dużymi i małymi kłopotami, chcą, aby powiedziała, czy Zosia kocha bruneta czy blondyna i czy Kasia wyjdzie w tym roku za mąż. „Klientek” nie brakuje. Zwłaszcza że Majka nie wróży każdego dnia, tylko w wybrane. Dziewczyny wierzą w to, co im powie, a gdy się coś sprawdzi, przybiegają, żeby jej to zakomunikować. Czy wierzy we wróżby? Tak, wierzy, bo zawsze jest część prawdy w tym, co powie. Zresztą nie jest to tylko zmyślanie — wróżenia uczyła ją pewna Cyganka.

Umie też wróżyć z dłoni, oczu, rysów twarzy. Odczytuje z nich cechy charakteru i jeśli w kartach może czasem coś „zaimprovizować”, tu musi wiedzieć na pewno.

Majka nie chce o sobie mówić, uważa, że jest to zbędne. Dziś jest taka, jutro taka, człowiek ciągle się zmienia. Ot, na przykład, zna pewnego chłopaka (chłopakom też wróży, ale rzadko), który kiedyś wydawał się jej wspaniałym człowiekiem, a teraz przekonała się, że jego słowa najbardziej poważne, stają się potem niczym.

Bo Majka przywiązuje wielką wagę do słów. Jeśli ktoś mówi, że odda książkę za dwa dni, a przynosi po miesiącu lub daje słowo honoru, a za pięć minut nie pamięta o tym zupełnie, to coż to za człowiek? Majka nie stara się nikogo potępiać, ale zrozumienie pewnych rzeczy jest dla niej bardzo trudne.

A wróżyć stara się solidnie i zgodnie z prawdą. Czasem dziewczyny narzekają, że „kracze” — one zaś przychodzą po radość i zapowiedź lepszego jutra, więc Majka niczemu się nie dziwi.

Na początku mieszkała na stacji, ale wytrzymała tam tylko dwa miesiące. Po miesiącu już zaczęła szukać miejsca w akademiku. Nie czuje się winna, dziś także uważa, że gospodyni była wstrętną, wciśbiską babą. W końcu, gdy się płaci, można wymagać, aby nikt nie sapał ze złości, że światła

Mieszkała z nimi do czerwca, ale nigdy nie zdołała nawiązać choćby nici sympatii. Współmieszkanek traktowały ją jak powietrze. Miały tylko jedną pasję — pasjanse. Od rana do nocy siedziały we trzy i w skupieniu rozkładały karty. To był taki karciany obłąd.

Majka czuła się wtedy bardzo, bardzo samotna. Kiedy tylko mogła, wy-

we własnym świecie, a o to jej przycalał czas chodzi.

W akademikach mieszka ich wielu. Plotkują, kłócą się, kochają, śmieją i płaczą. Pragną stworzyć sobie namiastkę rodzinnego domu, zawieszają nad łózkami zdjęcia, widokówki, obrazki. Chcą, aby im było dobrze. Czasami udaje się im to nawet osiągnąć



Kobieta bez wstępu jest jak potrawa bez soli.

(arabskie)

AEROBIC?!

Dokończenie ze str. 1

że wiele form prowadzenia zajęć, jakie widziałam w wydaniu innych instruktorów, sprawia wrażenie że chodzi o skuteczne doprowadzenie do zmęczenia fizycznego. A to nie jest przecież celem.

— Zostałmy zatem przy sprawie definicji. Co to właściwie jest aerobik?

— Najczęściej słyzy się, że jest to „gimnastyka przy muzyce”. Ale to jest określenie najprostsze i mało wyjaśniające. Bo czy z niego wynika, czym różni się aerobik od gimnastyki szwedzkiej, a jeszcze bliżej — od metody

luzu, a nie do nastrojów przygnębienia, smutku. Jeżeli uda się zatem połączyć w utworze obie te funkcje, to jego wybór dla potrzeb aerobiku jest trafny. Pozostaje jeszcze tylko jeden „drobiazg”...

— Jak?

— Żeby do odpowiedniego rytmu dobrać odpowiednie rodzaje ćwiczeń. Jeżeli, na przykład, ćwiczenia wymagające dużych wydatków energetycznych zestrojimy ze zbyt szybką muzyką, może się to źle skończyć dla tych ćwiczących, którzy za wszelką cenę nie chcą wypaść z rytmu.



Björkstena i Bertrama, którzy w ubiegłym wieku opracowali system ćwiczeń przy muzyce dla dziewcząt? Nie. Moim zdaniem, najadekwatniej można określić aerobik, jako formę stymulacji motorycznej i psychicznej, której celem jest rozwój układu ruchowego, czynności wegetatywnych oraz sfery emocjonalnej. Zgodnie z założeniami aerobik przeznaczony był początkowo dla amerykańskich astronautów jako metoda treningowa służąca stymulacji układu krążenia i układu oddechowego, a także jako technika relaksacyjna; znosząca uczucie zmęczenia psychicznego, poprawiająca ogólnie samopoczucie. Mniej natomiast — na kształtowanie cech motorycznych, bo do tego służyły inne, bardziej specjalistyczne ćwiczenia. W wersji zaproponowanej przez Jane Fondę nacisk kładzie się na stronę motoryczną, na formowanie pożądanych nawyków ruchowych (koordynację ruchu, gibkości ciała, wytrzymałości itd.) oraz na kształtowanie prawidłowej sylwetki (przede wszystkim jej „odtłuszczenie”). Nie znaczy to, iż pozostałe funkcje stają się nieważne.

— Jaką wtaściwie rolę w ćwiczeniach pełni muzyka? Czy nie chodzi tu czasem tylko o potanczenie sobie w gustownych strojach, eksponujących kobiece wdzięki?

— Funkcja muzyki jest dwojaka i w żadnym wypadku nie idzie tu o taniec. Po pierwsze, chodzi o określenie przy pomocy muzyki rytmu wykonywania ćwiczeń. Rytm utworu niejako „wymusza” tempo, w jakim wykonywane są ćwiczenia. Jest to funkcja podobna do tej jaką pełni muzyka w gimnastyce porannej, w radiu. Po drugie, idzie o działanie relaksacyjne, odprężające. Nie jest tajemnicą, że przy muzyce — melodyjnej, rytmicznej — mamy skłonności raczej do odprężenia,

— Jak, na przykład?

— Utratą przytomności. Omdleniem.

— Zdarzyło się u pani?

— Nie. To się po prostu nie powinno zdarzyć.

— A zdarza się?

— Owszem. Słyszałam o takich wypadkach. Dlatego też byłabym za tym, aby instruktorzy aerobiku otrzymywali (lub nie) weryfikacje. Żeby były jakieś kryteria przydatności. Sytuacja przypomina dziś trochę okres żywiolowego rozwoju różnych stylów walki, przed 2—3 lata. Bierze się do tego każdy, kto uzna, że się zna.

— A pani się zna?

— To można sprawdzić. Choć po latach pantomimy przypuszczalnie — tak.

— Jak wygląda pani kurs aerobiku?

— Może zacznę od pewnego wstępu. Otóż kobiety w Polsce mają kolosalne kłopoty z własnym ciałem. Przede wszystkim nie potrafią go „nosić”. Chodzą przygarbione, skulone, wystraszone jakiejś, zawstydzone. Dlatego też staram się w czasie kursu o dwie rzeczy: aby nauczyły się chodzić i przestały wstydić własnego ciała.

Nauka chodzenia polega na wpojeniu im nawyku podnoszenia brody do góry, wysuwania piersi do przodu i podciągania pośladków do góry „spinnania” ich. Żeby nie było to związane z nieustannym wysiłkiem fizycznym (napięciem mięśni), trzeba stosować ćwiczenia wzmacniające mięśnie kręgosłupa, brzucha i nóg. To w pierwszym rzędzie. Dalej — wzmacnianie mięśni klatki piersiowej, karku i rąk.

Walka ze wstydem sprowadza się w głównej mierze do zrzucania nadwagi, co jest główną przyczyną tego samopoczucia.

Słowem, jeżeli po odbyciu sześciotygodniowego cyklu ćwicząca pozbędzie się 5—7 kilogramów i zacznie ładnie chodzić, to cel kursu jest spełniony.

— Daruje pani, ale oczekiwałem jakichś szczegółów, konkretnoś dotyczących ćwiczeń itd.

— Najlepiej zobaczyć te szczegóły, przychodząc na zajęcia. O czym mam mówić? Jak się wzmacnia mięśnie brzucha? Przy jakiej to robię muzyce? To są szczegóły bez specjalnego znaczenia, bo rodzajów ćwiczeń jest wiele. Podobnie wiele jest utworów muzycznych służących celom aerobiku. Wybór zależy od podejścia i preferencji instruktora. Mój program odbiega od programu Jane Fondy, choć posiadam jej podręcznik aerobiku, kasety z muzyką i videokasety. Mogłabym łatwo powielić Jane. Podobnie zresztą, jak inną Amerykankę, działającą w Berlinie Zachodnim, Sydney Rome. Jej program też mam zarejestrowany, łącznie ze szlagierem „Let's move aerobic!”.

Mam też sporo materiałów włoskich. Przystępując do robienia swego programu, odrzuciłam to wszystko, szukając rozwiązań bliższych moim doświadczeniom pantomimicznym i upodobaniom muzycznym. Moje zajęcia są otwarte. Przychodzą na nie nie tylko ćwiczące kobiety i dziewczyny, ale także inni instruktorzy lub osoby szukające się do tej roli.

— No właśnie, kto przychodzi ćwiczyć na pani zajęcia?

— Prowadzę już trzeci cykl sześciotygodniowy. Mam trzy grupy liczące ponad sto osób, ćwiczące trzy razy w tygodniu. Zajęcia trwają początkowo pół godziny, a stopniowo dochodzą do 60 minut. Są prowadzone bez przerwy. Najwięcej przychodzi dziewcząt w wieku szkolnym (podstawówka i średnie) oraz studentek. Są jednak i kobiety dojrzałe, matki kilkorga dzieci. Pojawia się nawet kobieta sześćdziesięcioletnia, która ćwiczyła na równi z młodszymi, dopóki nie zabronił jej lekarz; teraz uczestniczy w zajęciach tylko raz w tygodniu, ale też jest bardzo zadowolona.

— Ile z nich odpada?

— Przez kurs sześciotygodniowy przechodzi mniej niż 50 procent zgłaszających się na początek.

— Kto odpada?

— Wie pan, że najczęściej dziewczyny, które przychodzą w autentycznych strojach aerobikowych, w getrach za pięć tysięcy złotych, oryginalnych opaskach na czolo. Te szpanujące od początku. Druga grupa to osoby, które nie wytrzymują kondycyjnie lub nie mają cierpliwości.

— Jak wyglądają pani podopieczne po pierwszych lekcjach?

— Zmęczone, spocone, obolale. Bardzo niekobiece.

— I?

— Cóż, to są koszty.

— Koszty czego?

— Koszty chęci bycia kobietą. Podobania się. Pewności siebie. Dobrego samopoczucia. Aerobik jest drabiną do tego wszystkiego.

— I manifestacją tego wszystkiego?

— O tak. Jest manifestacją kobiecości, feminizmu. To widać już w atrybutach zewnętrznych. W kroju kostiumu na przykład. Eksponowanie piersi, nóg...

— Jak mężczyźni przyjmują atak feminizmu niesiony przez aerobik?

— To zależy gdzie. Na Zachodzie raczej normalnie. Natomiast u nas już inaczej. Do mnie, na przykład, przychodzą na zajęcia — w charakterze obserwatorów — mężczyźni i komentują zajęcia dość osobliwie.

— Jak?

— Że jest to nauka nowych technik współżycia seksualnego. Tak to im się jakoś kojarzy. Śmieszne, ale tak jest.

— Czy mężczyźni też się biorą do aerobiku?

— Nie możemy skompletować grupy. Moim zdaniem, aerobik jest zajęciem zupełnie niemiejskim. Wbrew naturze męskiej. Jaki mężczyzna będzie zainteresowany prezentacją swego ciała, jego gracji, piękna? Mężczyzna już woli wykazać się siłą fizyczną, albo sprawnością seksualną. Woli być lysis, gruby, nie zrobić sklonu, ale położyć kumpła „na rękę”, wypić o pół litra więcej. Itd.

— Mimo całej swej „rewolucyjności” aerobik jest — przynajmniej chyba — zajęciem elitarnym. A do tego zupełnie niedemokratycznym w swojej praktyce. Zdecydowana większość kobiet, które chciałyby na uprawiać, pozostaje w domach. Najwyżej naję wstydząc się...

Brzydka kobieta jest skarbem w domu, ale na ucztach króluje piękna.

(chińskie)

— To jest problem. Wiele dziewczyn i kobiet po prostu nie zna siebie i swego ciała. Boi się konfrontacji z innymi. To im bardzo utrudnia decyzję o rozpoczęciu ćwiczeń. Na Zachodzie są specjalne, codzienne programy telewizyjne, podręczniki, kasety. Ułatwia to uprawianie aerobiku w domu. Być może i u nas nastąpi jakiś postęp.

— Czy aerobik może mieć wpływ na kształtowanie psychicznej postawy kobiety?

— O tyle, o ile może mieć na to wpływ świadomość i znajomość własnego ciała oraz pewność płynąca z możliwości jego kontroli. Panowanie nad własnym ciałem jest najlepszym sposobem na pozbywanie się kompleksów, poczucia zagrożenia, mniejszej wartości. Kobiety nie zdają sobie na ogół z tego sprawy. Wiąże się z tym także problem poruszania się. Ładnie poruszającą się kobietę dostrzeże każdy mężczyzna, nawet jeśli nie jest to Jane Fonda. Ruchem „sprzedaje” się kobiecość i osobowość w ogóle. Tak więc, aerobik może mieć wpływ na kształtowanie postawy kobiety wobec siebie i wobec życia.

— Nie pytam już, czy odbiera pani aerobik jako modę czy styl życia...

— Jest to niewątpliwie pewien styl. W jego skład wchodzi nie tylko ćwiczenia ale także higiena życia codziennego, unikanie używek, odpowiednia dieta itp. Dlatego też aerobik nie przemienia jak któraś z kolejnych mód. Podobnie zresztą jak jogging, którego żywotność obliczano na 3—4 lata, a on nadal trwa i rozwija się na całym świecie. Mówienie o modzie tam, gdzie wchodzi w grę sprawy istotne dla zdrowia i właściwego funkcjonowania człowieka, jest niestosowne.

— Czym zakończymy naszą rozmowę?

— Jeżeli pan pozwoli, pewną prośbą: NIE MÓWCIE O AEROBIKU NIC, JEŚLI GO NIE SPRÓBUJECIE.

— Zatem „Let's move aerobic!”, Dziękuję pani.

Rozmawiał:
Waldemar Piasecki



Fotografował: Jacek Mirosław

GARDŁO

KILKAKROTNIENIE anonsowane, a później z różnych powodów przekładane koncerty Maryli Rodowicz w naszym regionie były okazją do obcowania z artystką dużej klasy. Lata spędzone na estradzie wykorzystwała do osiągnięcia formy, jakiej może jej pozazdrościć wielu ludzi sceny. Śmiem twierdzić, że Rodowicz jest jedyną i niepowtarzalną. Po jednym z gorąco oklaskiwanych koncertów poprosiłem piosenkarkę o rozmowę.

— *Nazwała pani kiedyś piosenkarsztwo niemieckim zawodem. Czy właśnie dlatego je pani wybrała?*

— Wybrałam dlatego, że z wielu zainteresowań estrada okazała się najsilniejsza. W dzieciństwie i wczesnej młodości pasjonowałam się różnymi rzeczami. Malowałam, uprawiałam wyczynowo sport, byłam aktywnym członkiem kółka recytatorskiego, teatru szkolnego i zespołu tanecznego, próbowałam grać na skrzypcach. Wszystkimi tymi zainteresowaniami towarzyszyła zawsze muzyka i ona chyba miała dla mnie największe znaczenie. Nie ukrywam, iż piosenka bardzo mi odpowiada jako forma wypowiedzi.

Istotnie nazwałam śpiewanie niemieckim zawodem. Otóż uważam, że niewielu jest stuprocentowych męczyzn-piosenkarzy. Estrada manieruje ludzi i trzeba niekiedy pokokietować publiczność. Kobieta, z racji swej natury, potrafi to zrobić z wdziękiem, bo ma więcej ekshibicjonizmu. Kobieta może się otworzyć, zdobyć się na kokieterie, co mężczyźni stwarza bez porównania większe trudności. Musi on stale przelamywać pewne bariery. Dla zdobycia scenicznego charyzmatu panowie wdzieczą się do publiczności, krygują, co jest widokiem żenującym, lub są stanowczo za sżtywni. Kiedyś duże wrażenie zrobił na mnie w Sopocie Gary Brooker (były muzyk Procol Harum — przyp. I.G.). Potrafił być intrygujący w tym, co robił, i prawdziwie męski, ale takich gwiazdorów spotyka się niesłychanie rzadko.

— *Jak pani to robi, że mimo zmieniających się mód i potężnej fali rocka, wciąż cieszy się pani ogromnym powodzeniem?*

— To trudne pytanie, które sobie również zadaję. W ciągu kilkunastu lat śpiewania były momenty, kiedy następowało zmniejszenie zainteresowania moją osobą. Przyznam, iż zawsze jestem pełna obaw, czy kapryśna publiczność (a nasza do takiej należy) nie

rocka ludzie chcą mnie jeszcze słuchać, to nie jest najgorzej.

— *Co dla pani jest motorem działania? Mimo tych kilkunastu lat związku ze sceną, wciąż uchodzi pani za osobę operatywną, pomysłową, pełną wigoru...*

— Po prostu lubię ten zawód i chce mi się pracować, chociaż czasami opadają mi ręce. Musi pan wiedzieć, iż polski wykonawca zdany jest wyłącznie na siebie i nikt poza nim nie jest zainteresowany utrzymaniem wysokiego poziomu sztuki estradowej. Dopóki piosenkarz zapewni możliwość zysków (a są one niemałe), tak długo jest przydatny. Potem może trafić na bruk. Nikogo to, proszę mi wierzyć, nie wzrusza. Umarł król, niech żyje król! Smutny koniec niejednej gwiazdy przypomina rabunkową gospodarkę polskimi lasami. Nie odkryję pewnie żadnej tajemnicy, jeśli powiem, że nasza branża estradowa jest amatorką czystej wody. Nawet, jeśli wykonawca reprezentuje w miarę przyzwoity poziom, to wszystko obciąga go za nogi w dół — warunki techniczne, koszmarnie sale koncertowe, światła, totalny brak instrumentów i aparatury nagłaśniającej, postawione na głowie stawki wykonawcze, stek bezsensownych przepisów, wreszcie brak fachowej opieki i pomocy impresaria, aranżera, reżysera, producenta.

Trzeba naprawdę stalowej odporności, aby to wszystko znieść i jeszcze cokolwiek zrobić nowego, ciekawego, wartościowego. Panuje przekonanie, że piosenkarze żyją z tantem, jak na całym świecie, gdzie gdy artysta nagra dobrą płytę lub zaśpiewa przebój, to może cały rok pracować nad nową płytą czy przygotować recital. U nas zarabia się gardłem. Trzeba zagrać co miesiąc ileś tam koncertów, żeby utrzymać siebie i rodzinę. Rozumiem dobrze tych, którzy się poddają i wyjeżdżają do zachodnich hoteli czy knajp. Śmiem twierdzić, że u nas estrada nigdy nie będzie miała profesjonalnego poziomu i wciąż będziemy uchodzić za kopciuszka w stosunku do Zachodu. Tam jednak sponsorzy inwestują w piosenkę, zanim wyciągną rękę po profity. U nas, nie wiem dlaczego, zapomina się, że dzięki piosence można kształtować gust odbiorcy, podnosić jego kulturę.

— *Występowała już pani z wieloma zespołami, z którymi później kontakt urywał się. Czy rozstania wypływały z pani trudnego charakteru, czy może miały inne podłoże?*

— Rozstania z muzykami nie były podyktowane moim trudnym charakterem. Najchętniej pracowałabym w jednym składzie; non stop z tymi samymi muzykami, ponieważ uważam, że tylko to daje gwarancję osiągnięcia perfekcji wykonawczej. Z moimi różnymi współpracownikami bywało tak, że po pewnym czasie nabierali głębokiego przekonania o swej wysokiej formie i decydowali się na odejście. Byli tacy, którzy uważali, iż moje towarzystwo im wyraźnie ciąży i sami doskonale dadzą sobie radę beze mnie. Tak było wcześniej z Barbarą Rutkowską i Elżbietą Badowską (o których, niestety, słuch zaginął), a ostatnio z Gangiem Marcela. Wiele z nimi pracowałam, wiele im pomagałam, wypychałam na pierwszy plan, aby otarli się o różne sceny, co w ostatecznym rachunku miało skutek odwrotny od zakładanego. I choć traktowałam ich jako partnerów, uznali, że marnują się w moim eleniu i niweczą własną karierę. Nie chciałam im niczego niweczyć, więc odeszli.

Nadal uważam, że im lepszych będą miała muzyków, tym wyższy będzie poziom mojego programu. Ale utrzymanie dobrego zespołu nie jest łatwe. Co lepsi muzycy wyjeżdżają do skandynawskich lub arabskich knajp. W tej chwili znaleźć można w kraju niewielu profesjonalnych muzyków. Dzięki różnym zabiegom udało mi się uprosić kilku muzyków studyjnych, którzy z racji częstych nagrań nie mają ochoty wyjeżdżać z Warszawy, aby zecheleli mi towarzyszyć na scenie. W kraju koncertujemy z rzadka, za to



Fot. Archiwum

częściej za granicą i to ich jeszcze trzyma. Występują więc ze mną: gitarzyści Andrzej Kleszczewski i Ryszard Sygłłowicz, basista Arkadiusz Zak, multiinstrumentalista Florian Ciborowski, perkusista Jan Budziszek i pianista Marek Stefankiewicz. Są to świetni instrumentalści i gra mi się z nimi znakomicie. Cóż z tego, skoro mam świadomość kruchości naszej współpracy. Zespół wkrótce rozpadnie się, bo dwóch gitarzystów wyjeżdża na Bliską Wschód. Inni też czekają na zagraniczne kontrakty. Oczywiście mogą pójść na pewne ustępstwa artystyczne i skompletować grupę złożoną z mniej sprawnych muzyków, ale nie wiem, jakie wtedy będą rezultaty.

— *Czy liczy się pani z obowiązującą modą przy tworzeniu nowego programu?*

— Oczywiście, że się liczę. Od początku mego śpiewania związana byłam z „młodą” muzyką i zawsze inspirowała mnie ona do dalszych prób. Wychowałam się na nagraniach Beatlesów, Rolling Stonesów, Boba Dylana i nie wiem, czy potrafiłabym dziś wystartować z zupełnie inną oprawą muzyczną. Dlatego zawsze będę wrażliwa na zmieniające się mody. Zresztą lubię łączyć różne gatunki i style. Eksperymenty mogą dawać satysfakcję. Całe szczęście, że ta muzyka zmienia się. Przynajmniej słuchacze nie będą znudzeni.

— *Co pani najbardziej przeszkadza w pracy?*

— Chyba świadomość, że idealny, wymyślony przeze mnie skład zespołu nie może istnieć dłużej, niż jeden sezon. Rodzi to ciągłą niepewność, jutra, destabilizuje. Program staje się wtedy dobry, kiedy jest dopracowany w najdrobniejszych szczegółach, kiedy panuje pełne zrozumienie i sympatia na scenie. Spektakl trwający półtorej godziny musi mieć swoją dramaturgię i po kilku wspólnych występach muzyk doskonale wie, czego od niego oczekuje, w jakim momencie potrzebna jest dynamika, a w jakim subtelność. Szkoda mi zawsze programu, który już dotrze się na scenie i musi po raz kolejny ulec zmianie. Bez przerwy ktoś przychodzi do zespołu, ktoś z niego odchodzi, a to niestety hamuje pracę. Czasem powoduje poważne stresy.

— *Od dłuższego czasu oczekujemy pani płyt. Kiedy można się ich spodziewać?*

— Równocześnie z albumem „Święty spokój”, który ukazał się dosyć dawno, nagrałam drugą płytę z kółkami dla dzieci. Przez trzy lata pukałam z taśmą do różnych drzwi, ale nikt nie wyrażał ochoty wydania takiej płyty. Dopiero niedawno zdołałam przekonać kierownictwo polonijnej firmy Polton. Może w tym roku uda się ją wydać. Chodziłam z tymi nagraniami wszędzie z przekonaniem, że są one ponadczasowe i kiedyś dotrą zarówno do dzieci, jak też ich rodziców. Śpiewam to, co usłyszałam w dzieciństwie, z solidnym opracowaniem muzycznym. Powinno się podobać. Ponadto w tym roku Pronit zapowiada edycję kolejnej płyty „Gejsza nocy”. Będzie na niej kilka premier Andrzeja Korzyńskiego.

— *Jak na powodzenie mamy reagują pani pociechy: Jaś i Kasia?*

Cieszę się z mamy śpiewania, choć, jak sądzę, zainteresowanie tym, co robię, wpływa z ich reakcji na współczesną muzykę rozrywkową. Dzieci lubią piosenki, oglądają w telewizorze listę przebojów i śpiewają dorosły repertuar. Najbardziej odpowiadają im słowa dwóch szlagierów — „Nie ma wody na pustyni” i „King Bruce Lee karate mistrz”. Znają też niezłe piosenki mamy — „Wsiąść do pociągu”, „Gimnastyka” i „Szparka sekretarka”. Wylapują pojedyncze, zabawne słowa, które mogą powtarzać bez końca, ot choćby o żonach, co to pilują spony.

— *Gdyby miała pani okazję ponownego wyboru zawodu, to kim chciałaby pani zostać?*

— Myślę, że ponownie piosenkarką. Zyczyłabym jednak sobie lepszych warunków pracy, życzliwości ze strony decydentów kultury i większej pomocy. Tylko, czy w ogóle można u nas czegoś takiego oczekiwać?

— *Dziękuję i życzę pani więcej optymizmu.*

Rozmawiał:
Istvan Grabowski

Dla mężczyzny cnota jest talentem, dla kobiet brak talentów jest cnotą.

(chifiskie)

wygwizdże aby moich piosenek. Polscy słuchacze nie da się porównać z żadnym innym krajem. Są bardzo, ale to bardzo, niechętni w sympatiach dla wykonawców estradowych.

W USA miałam okazję obserwować w telewizji koncerty 60-letniej pani, przy której wierna publiczność była wzruszona do łez. Ciekawa jestem, czego u nas by tak przyjmowano. Być może tam dzieje się trochę inaczej ze względu na mnogość muzycznych ofert. Właściwie każdy słuchacz może wybrać coś dla siebie. U nas mody zmieniają się z szybkością i mocą tornado, który, wkraczając, zmiata dotądnie wszystkie inne style z anteny. Co najmniej dziwnie zachowują się prezenterzy radiowi, faworyzujący teraz wyłącznie rocka, jak gdyby nic innego nie słyszeli. Warto pamiętać, że siła oddziaływania radia w kręgach młodych (choć nie tylko) jest tak duża, że wszystko można im wmówić. Jeśli więc mimo potężnej, hulaśliwej fali

Elżbieta Cichła-Czarniawska

FRANCISZEK nie mógł spać. Czuł się wyjątkowo podle, zdenerwowany był także losami projektu. Wziął trzy dni urlopu, aby w chwili, gdy ogłoszą wyniki konkursu, nie widzieć wyrazu twarzy kolegów i żeby oni nie widzieli wyrazu jego twarzy. Ogromnie zależało mu na zwycięstwie, projekt podobno miał szansę, jednak Franciszek wcale nie jest teraz o tym przekonany. A właściwie nie jest pewien, czy projekt powinien mieć szansę. „Wprawdzie zrobiłem, co mogłem, ale to chyba fałsz. Może nie wymyśliłem nic nowego? Może powielam wciąż cudze pomysły, cudze wzory? Robię to tak sprytnie, że sam daję się nabrać. Ślizgam się tylko po powierzchni życia. Wygrzywa zawsze on, ojciec, co za tchórz ze mnie” — coś nie zgadzało się Franciszkowi w rachunkach.

Wymotał się z przepoconej pościeli, narzucił na ramiona sweter, podszedł do okna i długo stał urzeczony, ale i przerażony. Unieruchomione gałęzie drzew, sztywno zamknięte w oteczkach lodu, rozwierały się z ledwo słyszalnym skrzyknięciem, co słabsze pokąły u nasady i z trzaskiem waliły się na ziemię. Druty sieci tramwajowej, oblane szklawem, bezdusnie cięły mrok. Trotuar pokrywało mleko podessze woda. Nadjeżdżający tramwaj, sycząc, włókł za sobą oslepiającą kulę, a błękitne światło pulsowało, przydając nocy przejrzystości. Z suchym szelestem spadały grudki marznącego deszczu. Zupełnie jakby ktoś ukryty we wgłębieniu muru powtarzał monotonnie i cicho: szsz, szsz, szsz. Franciszek dał się ponieść złudzeniu. Wypatrując czekał, czy nie pojawi się ten ktoś naszeptujący. Potem jeszcze raz spojrzął na pękniętą topolę po drugiej stronie ulicy i wrócił do łóżka, trąc czoło skostniałymi łalcami.

Ostatni okres życia wydawał mu się krótszy niż poprzednie. A przecież najwyraźniej odczuwał, mozolnie, z dnia na dzień, wydłużanie się czasu, jego martwe postoje, mielizny, bezwietrzne pogody, podczas których niby tak niewiele się dzieje. Tylko, gdy spojrzeć z perspektywy, wszystko daje się bez mała ścisnąć w garści. Kłamstwo dwu prostych równoległych zbiegających się u kresu widzenia? Kto jak kto, ale on powinien dobrze o tym wiedzieć.

Po torach ciężko przewalał się pociąg. W pewnej chwili Franciszkowi wydało się, że wskoczył do ostatniego wagonu, że zaczął niezmiernie szybko i płynnie wtapiać się w przestrzeń. I nagle wynurzyło się z niej jak z rzecznej głębi spychane dotąd na samo dno pamięci, ukryte starannie w gąszczu codziennych, niby zawsze najważniejszych spraw, opuszczone dawno królestwo pierwszych wtajemniczeń. Krag udreki i nadziei.

Siedział znowu uliczką swojego dzieciństwa. Wstępował w dzieciństwo, wrzynał się w nie boleśnie jak nóż w ciało. Uliczka urywała się niepostrzeżenie i ogarniała go węglisty nieboskłon, po którym pędziła z szumem seledynowa gwiazda. Uderzała w ziemię, aż wzbijał się słup strzelisty piachu, ptasiego pierza, suchej trawy, spatonych kości. Wszystko wymieszane starannie jak przyprawy w gigantycznym moździerzu. I zaraz ślepio niebo. Przystanął na krawędzi ciemności, przykleknął, czekał. Uderzyła w zgęszony kark twarda ręka ojca, trzask, prask: „Ty pomyleńcu, ty zapatrzeńcu, obiboko do niczego niezdatny, ty ty!” Zionęło. Alkohole, kwasy, aldehydy, smak — posmak zaledwie croszku i cebuli, i kiszanej kapusty. Śledzik, rybka, panie dzieju — wszystko wymieszane starannie. Twarda była pięść. „Na innych nie oglądaj się, głupcze, życie trzeba pracować po pysku”.

Wchodził w sam środek dzieciństwa, jakby wdrażał się w rdzeń drzewa, w esencję uliczki zakalającej się wśród dymów i szeleszczącej mgły — ślapiawicy, uliczki wezbranych mydlin i pomyj, kocich łbów — kamieni oswojonych, przyjmujących obłe bosą stopę od wczesnej wiosny do późnej jesieni, bo wiadomo: „szewc bez butów chodzi, synu” — ojciec skąpy był.

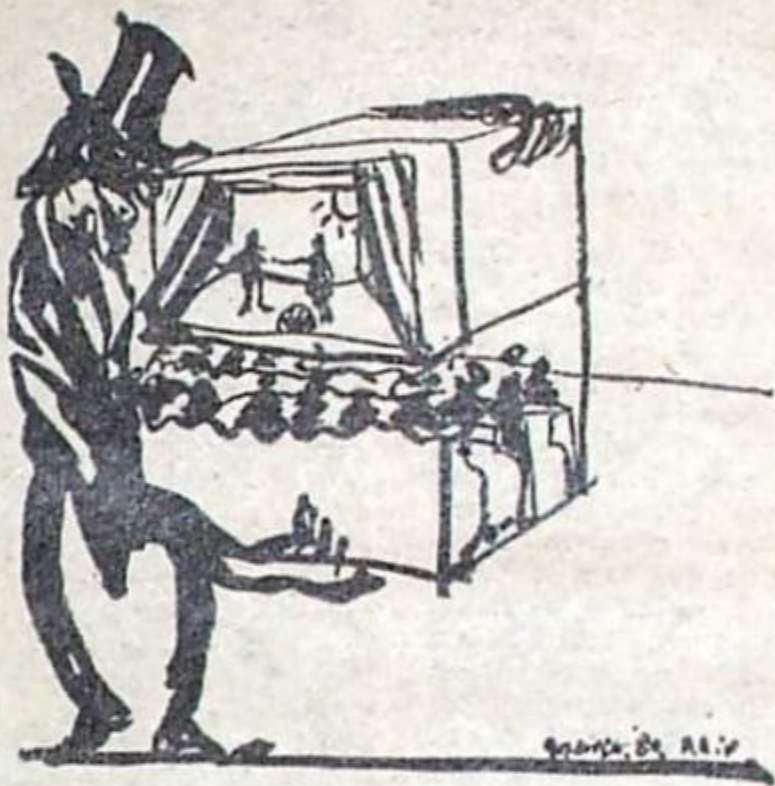
Albo inaczej. Szyby zapalały się żagwiami perlargoni. Wtulał twarz, nos przyciskał do zimna, do lodu, wypatrywał, polerował patrzeniem okrągłaki, żeby ślad bodaj lub ślad śladu, lecz ulica jak wymarła po zarazie (wiedział: jest pod murem na ementarzu takie miejsce i krzyż jeszcze krzepki. Napis na nim ostry, drżący, jakby wronie łapy poprzybił kto do drzewa: „Od głodu, moru i wojny zachowaj nas Panie”). Szyby kwitły porostem mrozu. Iskał się, wszsz z lubością wgniał paznokciem w parapet, chrupało — trzaskoło, czasem patrzył, jak która brzęgiem deski wędruje donikąd, zawracał ją zerwanym listkiem perlargoni i znowu donikąd, i znowu zawracał, aż wreszcie układał paznokcie, żeby najciszej, żeby strzeliło, sok wszszawy o porcięta wycierał. Ziewał.

A właśnie: „Panie Uriasz, zelówki miały być na dziś dzień u tych buczków wiśniowych, co to złotych trzy i wiesz pan, nikt w miasteczku takich nie ma. Wiesz pan, do kościoła tylko i od święta, i na pogrzeb cudzy albo własny. Paluchy bolą chodzić, nagniotki jak kurze kupry, ale

wiesz pan, takie buty”. „Wiem, wiem, co bym nie miał wiedzieć”. Jeszcze popuć, przyklepać, sprawdzić linię graniczną, gdzie podeszwa i przyszwa w zgodzie, w ciepłym pojednaniu. „Się należy?” „Złota rączka z pana, panie Uriasz, ale nie za wiele?” „Ooo, a gdzieżbym śmiał, kochana, gdzieżbym”. Zabrzącało.

I trzask, i prask. Tą rączką zlocistą, żylastą, tym stwardniałym kwiatem ogromniastym w pak zwiniętym, trzask pod żebro, aż w oczach wszyscy świeci pańscy i święci anieli, i rajskie polany pełne światel wiekuiowych. „Zebys, synku, wiedział i pamiętał: praca popłaca, lenistwo zatracca”. Umykał w kat najciemniejszy, gdzie szuści czarny miał karaczanów, przesympując się z miejsca na miejsce po deskach podłogi. Chrząst. Pod ziemię się zapasać, sińce pogłaskać, pomasaować lekko, lekusiętko. Zapłakać, w garść smarknąć, odetchnąć. I do życia! Było, to było, jak na psie przyszło. Życ, życie!

„Dokąd znowu? Robaki cie gryzą czy co? Do stołu by przywiązać na sznurze jak sobakę, ech ty zatracony”. Ale on już jest tam gdzie wiatr — boży duda mlechy konarów przylamuje. A z jednej strony miasteczka pop brodaty drobny kroczkiem w grudę podzwania i. Hospody pomylu, tylko patrzeć jak w ikony basem huknie, aż zadra podługowaci świeci. Wyposzczeni pionowo jak plomyki świec. A z drugiej strony proboszcz zażywny, cały w pomidorach rumieńców ciężko dudni ście-



Rys. Andrzej J. Bronikowski

żyna, więc będzie śpiewanie rzewne i rozlewne przed Matką pulchną z Bobaskiem w ramionach, aż uśmiechną się od ucha do ucha anioły pyzate, aż zagwizdzą z podziwu stara fisharmonia.

A z jednej strony popadła czeka cała w sznurach koralu. A z drugiej — gospodyni proboszcza, owiana zapachem smalcu i różanych płatków, pączki rumiane, okapujące, z tłuszczu dobywa.

Zaś pośrodku uliczki — między przepłowioną cebulą cerkwi a srebrnym bodziszczem kościelnej wieży, między bierczą a topolą, między popem a proboszczem, między krasną popadą a gospodynią, co jak młotła — Mojsze mały malutki na krzywych nóżkach toczy przed sobą obłok pary, w odmrożone dłonie chucha, marzy mu się gęś wielka jak ziemia w śniegach, gęś rumiana jak spalona od słońca ły. Marzy mu się, a niechby już, dzwonko śledzia wynurzone z chrupkiej soli, z beczki pełnej smrodu, że aż ślina cieknie. Mojsze przyleyka i przyleyka, oczy wybalusza, język mu pod policzkami lata jak bilardowa kula, aj, aj. Lecz cóż to ciągnie się za nim jak ciemne paciorki rozprysnięte równo równiutko po grudzie? Ciureczek dymiący, gdy na zmarzlinę padnie. „Mojsze ział się — krzyczą dzieciaki pierśnej sklepowej — posikiwacz, świętuch, parch” — tupocą grube zelowy aż echo niesie, zatrząskują się drzwi za ciepłem, za światłem, Mojsze stoi skamieniały na środku ulicy, ropiejące oczy przeciera, głową kiwa, słuwa rzadką siłną.

Targnęło powietrzem. Znowu pociąg, czy gałąź odlamana? Zerwał się Franciszek i myśli: z którą sceną zaprzeszła, z jakim widokiem — powidokiem, z kim miałby się teraz utożsamić, gdy nasłuchuje w ciemnościach nocy, gdy wraca przepelniony bólem i zachwytem? A może po prostu uciec od tego raz na zawsze?

„Nie odejdziesz, stamtąd nie odchodzi się łatwo” — syczą ściany, syczą zlodowaciałe kropie deszczu, który pada od wielu godzin i zaraz zamienia się w szklawo. Franciszek usiłuje zebrać przeżyte przed chwilą obrazy, lecz pierzchają jak mrówki, gdy rzuci między nie szczyptę piasku. Czuje znowu ogromne zmęczenie. Nasłuchuje pilnie i stwierdza, że dźwięki, które od lat słyszy nocami, są trojakiemu rodzaju. Jedne wypełzają z kątów, z głębin domu, z ciemnych szczelin tego betonowe-

go bunkra, w jakim mu przyszło mieszkać, i one najciszej docierają do uszu jesienią i zimą, gdy okna szczelnie zamknięte. Drugie przychodzą z zewnątrz, są bardziej od tamtych kapryśne, różnorodnie, efemeryczne. Pojawiają się i znikają nagle, jakby wsiąkały w ziemię lub rozmywały się w bagnach mroku. Trzecie są odgłosami ludzkiego organizmu i można je słyszeć tylko wtedy, gdy na moment wygasa wszystko co postronne. Te burczenia, trzaski, podmuchy, grzdykania, piski, szmery. Franciszek dziwi się, jaki głodny potrafi być organizm, ta maszyna do mielenia życia. Czasem jednak mu się wydaje, że gdy dobrze słuchać, można rozpoznać jeszcze czwarty rodzaj dźwięków-nie-dźwięków, głosów-nie-głosów. Nie wiadomo, gdzie mieści się ich źródło, chyba w jakimś wymiarze, którego nie obejmują zmysły. Wtedy Franciszek odnosi wrażenie, że należy już do innego systemu, w którym wprawdzie to, co jest po tej stronie, jeszcze nie straciło ważności, ale stało się lżejsze, ułotniejsze. Czas rozciąga się w mroku miękko i elastycznie, wlece się minuta za minutą, lecz Franciszek ma świadomość, że wszystko jest teraz niezwykłe. Nawet nagle szczytnie poluzowanych zawiasów szafy, nawet sygnał elektrowozu stojącego pod światłami, nawet cień topoli rozlupanej przez zamarznąłą wodę. Czuje się trochę jak wypatroszony ptak, ale jednak wracają szczegóły żywota, pokruszone scenki, wyimki przeszłości dalekiej lub bliskiej, migotliwe, różnobarwne, jakby rozsypało się przed nim szkło ogromnego witraża.

Czy właśnie teraz, gdy znajduje się krok od sukcesu (tak naprawdę nie wątpi w to ani przez chwilę), musiał się nagle rozzdzwonić dzwon alarmowy? „Co zostawię po sobie?” Nikt przecież nie jest wieczny. Czy po to, co po nim, Franciszku, zostanie, warto było przemierzać szmat drogi? Zamykać każdy okruczeństwo rzeczywistości w pamięci szczernej jak skorupa orzecha? Owszem, pamięta plusk deszczu o parapety i śnieżne zawieje — niebezpieczne pory ojcowskich czarnych humorów, pięść, która spadała na kark, „Zeby wyrósł z ciebie człowiek, Franiu” — osobliwe metody wychowawcze miał ojciec. Pamięta cierpkie opary alkoholu, pijacką czkawkę rodzica, o, pan Uriasz umiał pić, umiał bić. Pamięta matkę cichutką, jakby jej wcale nie było. Wkrótce po wojnie oboje pomarli. Jego umieszczono w domu dziecka. Czuł taką samotność, że nawet mysz w pudełku po kawie „Enrilo” hodował przez kilka dni w tajemnicy przed ludźmi. Dziurki wywiercił, żeby dochodziło powietrze, skarpetami wyłożył dno. Zdechła. Samotność osaczała go jak lepka pajęczyna. Ale przetrwał. Wrosł w nowe wielkie miasto. Owszem, pamięta też dzień spadających kasztanów, sennie ciepło szkolnej sali, profesora łaciny, który z namaszczeniem skanduje Horacego. „Nie wszystek umrę”, tak, tego wtedy potrzebował. Wziął się w garść, splunął jak ojciec przed rozpoczęciem roboty, życie rwał garściami. I oto tej nocy dziwnej pojawia się refleksja: „Jak to jest z owym cytatem? Czyżbym jeszcze dzisiaj chciał w siebie wmówić na siłę, że podstawy świata są niewzruszone? Ależ to oszustwo. Jestem jak robak we wnętrzu jabłka, który czuje się bezpiecznie, podczas gdy gospodyni z wyostrzonym nożem trzyma już owoc w rękach”.

„A jakie masz propozycje, aby poprawić perspektywę, specjalisto od planów przestrzennych?”

Z chrupnięciem odrywa się zlodowaciała gałąź. „To akacja przed domem, szkoda. Była stara i krucho, ale mogłaby jeszcze stać”. Seria błysków rozświetla mieszkanie. Najdrobniejszy szczegół jest przez ulamek sekundy widoczny. Nawet ścieżyna, którą wyrysował Franciszek, przyciągając fioletkę z lekarstwem, nawet zeschnięty odwłok pająka przyklejony pod sufitem. I słubna fotografia rodziców w śmiesznej ramce. I koralik zgubiony przez Paulinę, młodszą córkę, i spinka do włosów starszej, Cecylii, i jakiś drobny, pomarszczony owoc, może porzeczka lub wiśnia, ślad minionego lata. We Franciszku wezbrało zdumienie: „Tyle drobiazgów, które w normalnym świetle, w codziennej scenerii, są nie do zauważenia. Czyż nie podobnie jest ze mną? Musiała zdarzyć się dopiero taka noc, żeby dostrzegł. Co?” Nie umie odpowiedzieć na pytanie. Wie tylko, że jest to noc, która wszystko wywraca, wszystkiemu każe przeczyc. Pamięć uwiera, ta przeladowana stara szuflada. Każdy drobiazg wydaje się istotny dla całości wewnętrznej pejzażu i żadnego szczegółu nie można usunąć, aby nie uszkodził kompozycji wydarzeń.

Lecz nagle wszystko zmalowało, odsunęło się, zbladło. Wstał raptownie, podszedł do stołu, wyjął z ramki splekaną fotografię, położył ją na mostecznej popielniczce. Nerwowo szukał zapalek, jakby nie swoimi rękami. Postart. Blysnęto.

W tym momencie piekący ból przeszył go na wylot. Usłyszał własny jęk, ale mimo to doznał ogromnej ulgi. Wydawało mu się, że znalazł się w zagajniku pełnym jesiennych drzew. „Synu, co to, trafić nie możesz?” — matka uśmiecha się z oddali. Stał pośrodku zrudziałego trawnika i wtem rozpełtała się lśtna zawierucha liści. Zlociste, purpurowe, o barwie miedzi i mosiądzu. Pachną grzybami i wilgocią, wirują. Słyszysz ich metaliczne dzwonienie, lecz później wszystko cichnie. Wokół nóg Franciszka usypał się wysoki, puszysty kopiec. Jest ciepło i bezpiecznie, choć obco i samotnie, jak niegdyś w domu dziecka.

Podnosi głowę, wyteża wzrok. Widąc już tylko skrawek ostrego błękitu, po którym sunie oslepiające białe obłoki.

Postać matki zatarła się.

Wreszcie na oczy spada ostatni krwistopomarańczowy liść. Jest jak liźnięcie ognia.



Fot. Waldemar Stępień

Ewa Dąbrowska

DAREMNOŚĆ

Kamień podnoszę z dna —
Tylko po to, by znów go rzucić.
Wyciągniętą ręką nie chwycę gibkiej trzciny.

Tam, w głębinie są ogrody różane —
Dobrze strzeże ich los — zazdrosny wodnik.

Jezioro uderza o brzeg
Serca

O brzeg
Nierzeczywistości.

Odejdźcie ze słowami pocieszenia,
Nie wstydzę się łez.
To wy się ich boicie.

Tu, gdzie dobrze jest mojemu sercu,
Pozwólcie mi zostać w ciszy.

Ewa Drzewiecka

-Marcińczak

* * *

komiczne
żadne słowa nie wytoczą z ciebie wzruszenia
a tylko jedno śmiałe przesunięcie palców
nie pozwala ci mnie opuścić
zmiana funkcji języka pospiesznie zbroi cię
w najjędrniejszą słabość

NIE POTRAFIĘ

drzewa jeszcze nie podejrzewają zimy
takie pyszne w brzożach i czertwieni
jeszcze ukrywają nagich ramion rozpacz
jeszcze grają jeszcze krzyczą rozkrwawionym
liściem

tylko ja garkotłuczna i ja czasochłonna
godnie nie potrafię sprostać umieraniu

Zofia Luchowska

-Kuna

**WSZYSTKO
W PORZĄDKU**

a gdy tak ciężko
to wszystko w porządku
gdy myśli się
i czuje

— po swojemu

Jadwiga Jeżyna

* * *

I niech zostanie po nas
choćby róg światła
nietknięty mrokiem
myśli zatrzymane w gardle
jakby piorunem
Może zostanie po nas
zachwiana cisza
jak przed snem

Kapanie rzęs
na wspomnienie
Przejdziemy
jak roztałajale śniegi
w wodę i wyschnięcie
Może będziemy powietrzem i wdychaniem?

Zofia Nowacka

-Wilczek

IDA

małe w drzwiach judasze
są oczami strachu
i choć głowy nie widać
w piasku nieruchomej
poprzez ściany z gipsu
słychać brzęk srebrników
tamieniony w bicie
podchodzące do gardła
choć ręką
widoczna
przez fortecy szparę
naciska tylko dzwonek
grzmiejący jak trąby
ostateczności

Hanna Terpilowska

KRAJOBRAZ

Wytryska ze źródeł narodzenia
z prozaicznej potrzeby zakwitania

jest drzewem
trawą
jest drogą pylną z brudami kół
jest czerwonym krążkiem słońca
zielenią
jest barwą
mozaiką odcieni
kolorem liścia
i przemijaniem

jest krajobrazem
przystanią dla bezimiennych źrenic

CHWILA

Jutro
nie wypowiedz
dziś
na warkocz mój zaklinasz
uśmiech w nas obojga

a jutro
myślę
nie będzie już dziś

może spadnie deszcz
róża zgubi płatek

wczoraj
powiem
była piękna

* * *

Zasną i śnić
o ogrodach gdzie spotykają się drzewa

stara jabłoń
grubiasta w kącie sadu
leża ciężarem gałęzi
na sztachetach płotu

a grusza ta w środku ogrodu
ponad cień swój wyrorła śmiało
owoc dojrzewa słodko i złościwie

listowiem poszedł wiatr

piękne będziemy mieli lato tego roku
powiedział dziadunio
i ucichł
nim wiosną znówu posypał się kwiat

U PROGU

Ileż we mnie zapomnień
żółtelek trawy
dni prosciutkich
zmierechów i poranków
kropel deszczu
na listku koniczynki

ileż powrotów
do siebie
do ciebie

uśmiech
wspina się jeszcze chwilką
promykiem świergotu cieni

POWROT

Przyjdę
wieczornym ogniem na wrzosach
i liściem sypiącym się z drzew

przyjdę
uśmiechem zielonych oczu
śladem traw
skokiem pasikonika
i doliną objętą nadmiarem powietrza

przyjdę
by osiąść kłodami drewna u kominka

wierszem

LAS

Błysnęło światłem
dzikiego zwierza
w rozpadlinie oczu
w żyłach
czuję cienie
półsennych liści
co niby ptaki
wilgotne
spadają we mnie

lęk niesę
szczytami pustką powietrza
chęć ogrzać ręce
zgarbione drzewa
skokiem do gardła
wychodzą naprzeciw

Nikt nie rodzi się pasożytem

Marek T. Barański

JUZ pocelwiy zapisywacz Nicolas Edme Restif de la Bretonne pisał: „Ile to forteli trzeba, żeby żyć bez pracy! A praca jest taka prosta, taka uczciwa, tyle daje zadowolonia! — Tak, ale trzeba ją lubić” („Noce paryskie”).

Dekret o stanie wojennym obwieścił powszechny obowiązek pracy dla mężczyzn od 18 do 45 roku życia (a kobiety? — równouprawienie wymaga „równouobowiązkania”). Zarządzenie to uściśliły przepisy wykonawcze Rady Ministrów z 30 grudnia 1981 r. Pojawiła się szansa zlikwidowania lub choćby ograniczenia irytującego zdrowy odłam społeczeństwa zjawiska pasożytnictwa.

W 1980 r. „pasożytów” było oficjalnie około 49 tys. (tytu zarejestrowano w kartotekach MO), ale przypuszcza się (wg szacunków Ministerstwa Sprawiedliwości), że jest ich przynajmniej trzykrotnie więcej. Rekrutują się głównie z osób nie pracujących, których w Polsce istnieje około 200 tys.

Największy niepokój budzi kwestia młodzieży w wieku 15 — 19 lat, nie uczące się i nie pracujące. Władze oświatowe oceniają, że stanowi ona około 10 proc. ogółu populacji w tym przedziale wieku. Jest to stosunkowo niezbyt wielka grupa, lecz nie jej liczebnością należy określać skalę problemu. Istotniejsza wydaje się wymowa moralna.

W tej sytuacji zrozumiałym jest fakt, że na porządku dziennym stanął problem ustawy o ludziach uchylających się od pracy i nauki — będący już czwartym „podejściem”; trzy poprzednie (w latach 1971, 1973 i 1977), jako że dotyczące sprawy trudno poddającej się regulacji prawnej, były nieudane. Z prawnego punktu widzenia zwalczanie wspomnianej patologii społecznej jest niezwykle skomplikowane. Po pierwsze, niedostatecznie precyzyjnie daje się określić zakres pojęcia „pasożytnictwo społeczne” oraz kto zasługuje na miano „pasożyta”. Otóż uważana jest za niego osoba, która uzyskuje prawidłowy stopień rozwoju psychofizycznego, ale uchyla się od pracy i żyje na koszt innych. Posłanka Jadwiga Giżycka-Koprowska w swym referacie rozbudowała tę definicję, wyróżniając: tych, którzy uchylają się od pracy i utrzymują z przestępstw; tych, którzy również nie pracują i utrzymywani są przez najbliższych; wreszcie tych, którzy fikcyjnie pracują, ale w rzeczywistości utrzymują się z nielegalnych źródeł.

Zyjącym na koszt swoich rodzin dajmy spokój — przepisy prawne powinny wystrzegać się prób ingerencji w sferę stosunków rodzinnych. Znacznie poważniej wygląda sprawa w przypadku innej — najczęściej gromionej w prasie — kategorii „pasożytów społecznych”. To osoby nie zatrudnione na stałe, a jednak posiadające środki utrzymania. Niekoniecznie są to, jak sugerują nadgorliwi dziennikarze, środki z uprawiania przestępstwa. Istnieje przecież niemała grupa ludzi pracujących sezonowo, dorywczo: na prywatnych budowach, w sadownictwie, transporcie etc. Wiele racji ma K. Pysiak, pisząc: „Jeśli ktoś żyje z dorywczej pracy (typu nocne rozładowywanie wagonów czy kilkudniowa pomoc rolnikowi) i wystarcza mu to na życie, jest to wyłącznie jego sprawa. Jeśli w pozostałym wolnym czasie pije i urządza awantury, to można go ukarać — na mocy odpowiedniego paragrafu — za chuligaństwo, ale nie za brak stałego zajęcia. Nie jest on zresztą pasożytem w tym sensie, że społeczeństwo do niego dokłada i demagogia jest stwierdzenie, że żyje on z naszych podatków. Winne są tu przede wszystkim mechanizmy ekonomiczne, które powodują, że u prywatnego rzemieślnika czy właściciela szklarni można zarobić w ciągu kilku dni tyle, ile wynosi miesięczna pensja młodego lekarza, inżyniera czy nauczyciela. Osobnicy podejmujący się dorywczych prac, dających także dochody, wykazują więc, co zakrawa na paradoks, lepsze rozumienie praw ekonomicznych, aniżeli zatrudnieni na stałych, państwowych posadach”.

Wychodząc z założenia, iż zjawiska negatywne osiągnęły skalę wymagającą ustawowej ingerencji, Sejm PRL uchwalił 26 października 1982 r. trzy ustawy mające na celu stworzenie prawnych środków przeciwdziałania przejawom patologii społecznej: „O postępowaniu w sprawach nieletnich”, „O postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy” oraz „O wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi”. Przypomnijmy, że interesujący nas akt prawny przyjęto przy 12 głosach przeciwnych i 22 wstrzymujących się; przeciwko głosowała m. in. grupa poselska PZKS. Ze sprzeciwem wystąpił także Episkopat, który w liście skierowanym do marszałka Sejmu domagał się, aby poniechać przyjęcia projektu ustawy, gdyż „jest on sprzeczny z interesem społecznym”. Głosem sprzeciwu, kontrowersji wobec poszczególnych rozwiązań było

sporo. Pierwotny projekt skrytykowała m. in. Rada Społeczno-Gospodarcza przy Sejmie, swe niezadowolone wyrażali także znani publicyści i naukowcy, np. doc. dr hab. J. Skupiński stwierdził, iż „realność kryminalnego działania przepisów projektowanej ustawy należy podkreślić z całym naciskiem i odnieść się do niego z całą powagą”. Jednakże ustawa o zwalczaniu pasożytnictwa najwięcej wrzawy wzbudziła w prasie katolickiej. Podnoszono głównie aspekt prawno-moralny. Powoływano się przy tym na tzw. „trzeci koszyk helsiński”, mówiący o prawach człowieka oraz na obowiązujące konwencje międzynarodowe (MOP), z którymi winny być zgodne uregulowania wewnętrzpaństwowe.

Obowiązująca ustawa „O postępowaniu wobec osób uchylających się od pracy” nie ma w naszym prawodawstwie precedensu — poprzednie prace nad uregulowaniem problemu nie wychodziły poza wstępną fazę. Stanowi ona wynik burzliwych dyskusji, polemik i starć; jest kompromisem wielu racji. Ustawa na szczęście nie wprowadza przymusu pracy. I takie głosy bowiem były i bynajmniej nie sporadyczne tylko. Radykalni zwolennicy rozprawienia się z „pasożytami” raz na zawsze domagali się dla nich obozów pracy przymusowej! Szkoda tylko, że w swoim świętym oburzeniu zapominali, iż w świetle ratyfikowanych



Rys. Krzysztof Borowski

także przez Polskę konwencji Międzynarodowej Organizacji Pracy, tworzenie jakiegokolwiek miejsca pracy przymusowej jest niedopuszczalne. Jednakże gwoli ścisłości dodajmy, że ustalenia MOP dopuszczają pewne odstępstwa od tej zasady. Otóż przymus pracy można zastosować jedynie w dwóch sytuacjach: orzeczenia takiego obowiązku przez sąd (wyrok skazujący na roboty) i w przypadku klęsk żywiołowych.

Wszystkie przeciwdziałania przewidziane w ustawie (wpisywanie do rejestru, następnie do wykazu osób uporczywie uchylających się od pracy — trochę to zawikłane; oświadczenia o źródłach utrzymania oraz obowiązek uczestnictwa w bliżej nie określonych robotach publicznych, trwających nie dłużej niż 60 dni w roku i organizowanych tylko w sytuacji zbiorowego zagrożenia, kataklizmu) mają na celu stworzenie systemu profilaktyki, eliminującej utrzymywanie się ze źródeł sprzecznych z prawem lub zasadami współżycia społecznego. Dobrze się stało, że założono szereg wyłączeń: m. in. emerytów i rencistów, inwalidów, rolników oraz członków ich rodzin zatrudnionych w tym gospodarstwie (ale czy to nie jest przypadkiem furtką dla „złotych młodzieńców” ze środowisk wiejskich?), rzemieślników, osób prowadzących działalność lub twórczość artystyczną, literacką, naukową itp. Zagwarantowano także możliwość zaskarżenia do sądu administracyjnego decyzji o wpisaniu do wykazu, co stanowi istotny instrument ochrony praw człowieka. Nieco bardziej niepokoją sankcje karne w przypadku niezgłoszenia się do organu administracji państwowej, niestawienia się na wezwanie lub nieprzedłożenia na żądanie oświadczenia o źródłach utrzymania (do trzech miesięcy aresztu). Wątpliwość budzi też zapis: „kto nie zgłosił się w określonym miejscu i czasie, albo uchylił się od wykonywania

robót publicznych mimo nałożonego na niego obowiązku, może zostać skazany na karę ograniczenia wolności do 1 roku”.

Z funkcjonowaniem ustawy wiąże się wiele innych wątpliwości. Czy w sytuacji systematycznego wprowadzania reformy gospodarczej, gdy przedziej czy później przedsiębiorstwa będą zmuszone zmniejszać zatrudnienie, ma sens ustawa o powszechnym obowiązku pracy? Klóci się to przecież z ideą reformy. Ponadto — mówił o tym poseł K. Malcużyński — czy w warunkach reformy znajdują się przedsiębiorstwa chętnie do zatrudnienia ludzi, którzy zamiast wydajnej pracy gwarantują raczej kłopoty? Zalogi zakładów pracy niechętnie widzą w swoim gronie ludzi wykończonych — alkoholików, narkomanów czy recydywistów.

Wróćmy raz jeszcze do aspektu prawno-moralnego całej kwestii. Elementarna zasada prawa głosi, że dopóki sąd nie dowiedzie kogoś winy — człowiek ten powinien być traktowany jako niewinny. I zasada następna: podejrzanemu trzeba udowodnić, że jest winien, a nie on ma udowodnić brak własnej winy. Tymczasem ustawa niejako przyjmuje, że wszyscy niepracujący są winni i oni właśnie muszą dokumentować źródła utrzymania, tj. stale przekonywać (co miesiąc) o swojej niewinności. Wydaje się, iż nie każda norma moralna może być realizowana na drodze przymusu — przykre refleksje i skojarzenia budzi w ogóle traktowanie pracy jako kary. Praca niewolna, wykonywana na rozkaz, pod taką czy inną presją, nie jest — zdaniem Stanisława Brzozowskiego — w pełni pracą: „Człowiek co tylko wykonywa, nie tworzy”.

Niemniej żadna krytyka nie powinna przysłaniać istnienia drażniącego i społecznie demoralizującego zjawiska uchylania się od pracy; postawy takie oddziałują negatywnie na innych, szczególnie na młodą generację. Pamiętajmy, że pasożytnictwo jest schorzeniem wtórnym w stosunku do błędów wychowawczych rodziny i szkoły, do alkoholizmu etc. Nikt nie rodzi się pasożytem — postawa ta, to wytwór społeczeństwa, określonych warunków życia.

Jedno wszakże jest pewne: wprowadzenie w życie wspomnianego aktu prawnego pozwoli zorientować się w rzeczywistych rozmiarach zjawiska. Dotychczas bowiem nikt dokładnie nie wie, jak liczna jest ta grupa ludzi. Podczas obowiązywania stanu wojennego i nałożenia obowiązku zatrudnienia, na podstawie informacji milicyjnych ujawniono 158 tys. osób nigdzie nie pracujących, ani nie uczących się. Opierając się na danych uzyskanych w postępowaniu administracyjnym, będzie można uzyskać stosunkowo jasny obraz sytuacji, co pozwoli na głębsze wejrzenie w te sprawy i opracowanie stosownych środków zaradczych.

Ideę ustawy zrodziła magiczna wiara, charakterystyczna dla myślenia warstwy biurokratycznej, iż przy pomocy zarządzeń i przepisów prawa można rozwiązać wszystkie społeczne problemy. Pomyłki są tu zbyt częste. Nawet rozporządzenie o powszechnym obowiązku pracy dla mężczyzn, wydane przez Radę Ministrów, nie dość skutecznie zmusiło osoby uchylające się od pracy do podjęcia jakiegokolwiek stałego zajęcia. Dlatego też z dużą dozą sceptycyzmu należy mówić o skuteczności obecnej walki z tym niewątpliwym złem społecznym. Nie należy sobie zbyt wiele obiecywać po obecnej akcji „uspołeczniania poprzez przymus pracy”. Albowiem każdy zakaz czy przymus rodzi natychmiast (w Polsce szczególnie) nowe sposoby „migania się” — im przepisy ostrzejsze, tym bardziej wyrafinowane i bliższe przestępstwa metody ich omijania.

Wiele się mówi ostatnio o konieczności przywrócenia należytej godności i wartości ludzkiej pracy. Wszyscy się z tym na ogół zgadzają, dodając krytycznie, iż „u nas pracy się nie docenia”. „u nas nie ocenia się ludzi za dobrą pracę” etc. Kluczową sprawą jest tutaj zagadnienie motywacji pracy, tak w sferze moralnej jak i ekonomicznej: „Ogromna większość z nas żyje dzięki pracy i przemija — pracując. Jeśli więc mówi się o stosunku do pracy, to mówi się po prostu o tym, jaki stosunek mają ludzie do samych siebie. Wiadomo, że praca na ogół powoduje zmęczenie. Zmęczenie pracą samo przez się nie jest dobre. Natomiast dobre może być to, że się człowiek zmęczenia pracą nie boi, że praca daje rezultaty, które są zmęczenia warte, że w końcu pracę swoją można po prostu lubić”. Występowanie zjawiska uchylania się od pracy wpływa na obniżenie dyscypliny społecznej, szerzenie się ewanierwa i kombinatorstwa. Powoduje zachwianie kryterium realnej pracy jako wartości moralnej. Wszystko to prawda, ale w rzeczywistości, jak napisał Jan Szczepański: „Największe szkody gospodarze wyrządza nie te kilkadziesiąt tysięcy osób unikających pracy, ale miliony wykonujących prace zbędne, pracujących źle, zwłaszcza w produkcji przemysłowej i budownictwie, produkujących buble czy wadliwie wykonane budynki, marnujących czas, maszyny, surowce i energię”.

Czy treść obowiązującej od 1 stycznia 1983 r. ustawy rozwiewa wszystkie obawy i zastrzeżenia, zgłaszane w toku jej opracowywania? Na pewno nie. Ostatecznym weryfikatorem przyjętych rozwiązań będzie, jak zawsze, życie. Na uwagę zasługuje z pewnością sugestia, by po pewnym czasie Sejm dokonał analizy skuteczności ustawy. Dopiero praktyka decyduje o wykorzystaniu potencjalnych możliwości tkwiących w najbardziej nawet udanym akcie prawnym. „Przyjęcie pakietu trzech ustaw przeciw patologii społecznej kończy okres prawnej bezzadecności wobec patologicznych i demoralizujących postaw i zjawisk w naszym życiu społecznym” — pisali niektórzy dziennikarze. Czy aby na pewno?

KIEDY mówi się o sztuce ludowej, a także o ludowym rzemiośle, tym z ambicjami artystycznymi, nieuchronnym kontekstem staje się wówczas dylemat mecenasowania tej sztuce. Dylemat, ponieważ ciągle dyskusyjna jest skuteczność tego mecenasowania, a nawet jego celowość. Zwolennicy tezy o niszczeniu, a w każdym razie fałszującym działaniu instytucjonalnych form opieki nad sztuką ludową dowodzą, że stanowi ona zbyt delikatną i spontaniczną materię, aby można było wkrazać do niej w roli mecenasa, to znaczy tego, który daje, ale i wymaga — wkrazać zwłaszcza na skalę przemysłową, a więc seryjną, unifikującą talenty, indywidualności. Tam, gdzie jest zysk, tam sztuka kończy się chałturą, twierdzą sceptycy.

W odniesieniu do sztuki ludowej tę dyskusyjną rolę pełni już od 35 lat „Cepelia”. Jej pełna nazwa brzmi: Centralny Związek Spółdzielni Rękodzieła Ludowego i Artystycznego „Cepelia”.

Zostawmy na boku stary spór o to, czy „Cepelia” niszczy, czy też stymuluje sztukę i rzemiosło ludowe: włącza je w gorset przemysłu, czy tylko pożytecznie im mecenasuje. Aby wyjść obronną ręką z tych pytań, należałoby się zanurzyć w grzędawisko rozważań etnograficznych, socjologiczno-historycznych. Pokusić się o odpowiedź na pytanie (dla mnie przynajmniej) zasadnicze — czy sztuka ludowa w ogóle jeszcze istnieje, skoro... nie ma już ludu! Jeśli zaś takie postawienie sprawy wyda się komuś zbyt ryzykowne, to powiem skromniej — sztuka ludowa jest reliktem formacji społeczno-historycznej już nie istniejącej, a cały problem sprowadza się do tego, czy mamy ją stale reanimować, udając, że sztuka ludowa istnieje i ma się dobrze, czy też jej miejsce jest już tylko w muzeach.

Takie postawienie sprawy stanowi wyzwanie dla dwóch potężnych kontrargumentów. Pierwszy to argument korzeni, naszej tożsamości narodowej, kulturowej. I drugi, naturalnie płynący z poprzedniego; odcinając się od tych korzeni stalibyśmy się kulturowymi Metysami bez przeszłości i z wątpliwą przyszłością!

Zatem powróćmy do sztuki ludowej dziś istniejącej, mającej się zupełnie dobrze, do sztuki i rzemiosła uprzemysłowionego, ani myślącego o muzeum; ekspansywnego, grającego na sentymentach kulturowych. Do sztuki użytkowej i egalitarnej, epatującej z wystaw, z deseni spódnic i wzorów kilimów, z dywanów i talerzy, słoniaków, świątków i mebli, Chrystusików frasołowych i pieśni, z wierszy, szopki i dziesiątków innych odpustowych zaurców. Słowem — do sztuki uprzemysłowanej, masowej.

Jej mecenasem jest „Cepelia”, koncern działający poprzez około 100 spółdzielni specjalistycznych, 300 sklepów, siedem regionalnych biur sprzedaży oraz salony zagraniczne (m.in. w Paryżu, Nowym Jorku, Brukseli, Sztokholmie). Zatrudnia ona prawie 50 tys. osób — twórców ludowych i profesjonalnych, rzemieślników, zwykłych wykonawców zatrudnionych w zakładach zwartych oraz w różnych formach chałupnictwa. Jej krótka efektywna wizytówka ekonomiczna zamyka się kwotą 24 mld złotych osiągniętych w ubiegłorocznym obrocie w tym 10 mld zostawionych w towarze na rynku krajowym. „Cepelia” daje pracę twórcom, rękodzielnemu ludowemu i artystycznemu, urządza wystawy, targi, kiermasze, ma duże osiągnięcia edytorskie. Jest członkiem Światowej Rady Rękodziel przy UNESCO prowadzi sekretariat jednej z sekcji europejskich, przeniesionej przed kilkoma laty z Londynu do Warszawy. Słowem, posiada renomę, pieniądze i... zapotrzebowanie klientów.

Etnografowie, historycy sztuki, regionaliści na ogół zgodnie twierdzą, że niezależnie od komercyjnych przesłanek i dyskusyjnych skutków zmasowanej działalności „Cepelii” — przyczyniła się ona do ocalenia głównych działów twórczości ludowej w takich regionach, jak: Kurpiowszczyzna, Kaszuby, Podhale, Podlasie i Łowickie.

Dodajmy od siebie — przeniosła tę sztukę do naszych domów, do naszej codzienności. Kazała jej być nieprzerwanie modną, chwytliwą, wykładnią gustu. Nadala rangę — w wielu działach — drogiego, ekskluzywnego snobizmu. Przeniosła ją ze sfery zgrzebnej dlabaniny i ludowej rozrywki w sferę luksusu, dziś ostentacyjnie opodatkowanego. Mieszając autentyzm ze zręcznymi stylizacjami profesjonalistów, narzuciła swój dyktat zarówno twórcom jak i odbiorcom, tworząc coś w rodzaju pop-kultury, nowoczesnego starocia, słowem — cepeliady.

— Jak łatwo — wyrwało mi się w rozmowie z kilkoma szefami „Cepelii” — być mecenasem, panując tak niepodzielnie!

— Czyżby? — wykrzyknął na takie postawienie sprawy Jerzy Kalwarczyk, zastępca prezesa Centralnego Zarządu „Cepelii”.

— Ledwo wiążemy koniec z końcem, nie gonimy za zyskiem — powiada Mieczysław Waleśkiewicz, przewodniczący Rady Centralnego Związku „Cepelii” i prezes Spółdzielni „Twórczość Kurpiowska” w Pułtusku.

— Nie jest to takie proste — wtrąca im Ryszard Podobiński, prezes Spółdzielni „Wikliniarka” w Lublinie. Po czym popłynęły opowieści układa-

zwłaszcza podatków. Znakomitą ilustracją są tu aktualne kalkulacje cen i kosztów wyrobów cepeliowskich. W wielu asortymentach wzrosły one i nadal rosną: od kilkudziesięciu do kilkuset procent. Dalej idzie podatek od funduszu plac — ten podskoczył o około 10 procent. Sam fundusz plac także wzrosł w najbliższej przyszłości z tytułu rekompensat. W sumie więc rezultatem tej łańcuchowej reakcji jest zwiększenie cen produktów cepeliowskich średnio o ponad 100 procent.

Poczesne miejsce zajmują w tej spirali podatki, zwłaszcza obrotowy oraz od luksusu. W skali „Cepelii” podatek obrotowy wzrósł średnio z 4 do około 17 proc., przy czym, np. w dziale kilimów, które stano-

Obraz sytuacji w cepeliowskiej kuchni nie byłby pełny, gdybyśmy nie zwrócili do garnuszka dziesiątków tysięcy jej pracowników. Okazuje się, że sporo tu dziwolągów i zaniedbań placowo-socjalnych. Jeden z nich, będący naturalną konsekwencją spiralnego systemu rekompensat i zasiłków polega na tym, że chałupnikom, zwłaszcza posiadającym kilkoro dzieci, nie opłaca się wydajnie pracować. Ten paradoks obrazują dwa przykłady, zaczerpnięte również z „Wikliniarki”.

Oto listopadowa wypłata wikliniarza z woj. płockiego wyniosła 28 447 zł. Co złożyło się na tę płacę, równą pensji dyrektora sporego zakładu pracy? Okazuje się, że własnoręcznie „wypłócił” on tylko 8750 zł. Resztę stano-

Cepeliada

Henryk Pająk

Ważące się w barwny dreszczowiec kalkulacyjno-kryzysowo-ekonomiczny pod nazwą „Cepelia”. Otóż do ostatnich lat cepeliowskie konsorcjum egzystowało dość dobrze, w bezpiecznej odległości od deficytów, choć nie bez okresowych trudności, zwłaszcza zaopatrzeniowych. Nastąpił jednak czas kryzysu a ten obnażył wszystkie słabości krępkiego dotąd mecenasa. Zachwiał on samymi statutowymi pryncypiami „Cepelii” — na skutek wpisanej w jej strukturę i statut sprzeczności między priorytetowym nakazem opieki nad sztuką i rzemiosłem ludowym, a prawami samowystarczalności, rachunku ekonomicznego. Ponadto, działając w sferze wyrobów przeważnie luksusowych, cepeliowskie rękodzieło stanęło w obliczu dodatkowych obciążeń cenowych z tytułu luksusu, co bezpośrednio godzi w popyt, a zatem w obroty i zyski. W normalnych warunkach „Cepelia” bez większych trudności radziła sobie z piętnem luksusu i cen wyższych niż normalne. Był zysk, był eksport, odpisy dewizowe i były towary: wprawdzie drogie, ale nie szokująco drogie, jak np. obecne ceny dywanów bliskie wartości „malucha”. Zrodziły się naturalne pytania: Dla kogo ma produkować „Cepelia”? Czy wystarczy nam rodzimych milionerów? Czy sztuka ludowa, zaklęta w przedmioty rękodzieła artystycznego, ma szansę masowo trafić pod strzechy zwykłych mieszczuchów?

Z tych rozterek zrodziła się, powitana z dużą nadzieją, uchwała Rady Ministrów nr 112/81. Jej ideą było rozpostarcie parasola ochronnego nad sztuką ludową i jej mecenasem, „Cepelią”. Raz jeszcze potwierdzając uroczyste statutowy zapis z 1949 roku o priorytecie sztuki i rzemiosła artystycznego nad zadaniami gospodarczymi, uchwała pozostawiła „Cepelii” wolną rękę w kształtowaniu własnego systemu finansowego, a więc głównie cen. Poza tym „Cepelia” dostała się do centralnego rozdzielnika surowców, co mogło mieć ogromne znaczenie dla cepeliowskiego dziewiarstwa, produkcji dywanów i kilimów (owcze runo), czy biżuterii (srebro, bursztyn).

Niestety, czas wkrótce pokazał, że były to obietnice i preferencje papierowe, nie mające żadnych szans realizacji w nacierającej nawałnicy cenowo-podatkowej i narastających trudnościach surowcowych. Dość szybko, bo już po roku, z pięknej w intencjach ustawy RM nr 112 nie zostało. Najpierw rozwiął się mit surowcowy. Już na 1982 rok „Cepelia” nie otrzymała potrzebnej ilości runa, ocenianej na 1000 ton. W I kwartale ub. roku dostawa wyniosła zaledwie 50 ton, co drastycznie „podcięło” kwartał produkcyjny w dziedzinie poszukiwanych wyrobów wełnianych. Przydziały srebra okazały się również skromne. Na zgłoszone zapotrzebowanie, wynoszące 9 ton, „Polsrebro” obiecało 2,8 tony, a i z tej obietnicy nie kalkiem się wywiązało. Posucha dotknęła także inne działy, np. meblarski. Drewna w zasadzie nie brakło, lecz ostry deficyt pojawił się w zakresie lakierów, klejów, rozpuszczalników, bez których ani rusz z produkcją cepeliowskich mebelków.

Najszybciej skutki recesji dały się odczuć w zatrudnieniu. W krótkim czasie z „Cepelii” rozstało się ponad 3 tysiące pracowników, w tym wielu dobrych rzemieślników — artystów rękodzieła, a także chałupników.

Konsekwencje najgroźniejsze w skutkach na dziś i na dalekie jutro niesie nowa struktura cen i kosztów. Nadna uchwała rządowa nie jest bowiem w stanie rozciągnąć skutecznie działającego parasola nad produkcją wydaną na żer galopujących cen surowców, kosztów produkcji, plac, a

wią aż 25 proc. całej produkcji „Cepelii”, skoczył z 4 do 20 proc., w asortymencie regionalnej galanterii drzewnej zwiększył się do 20 proc., w meblarstwie — 15 proc. Do tych obciążeń dochodził nowość ostatnich lat — podatek od luksusu. W takich grupach wyrobów cepeliowskich, jak np. meble z litego drewna, meble stylowe, kożuchy, bursztyny powyżej 5 tys. zł, a zwłaszcza ręcznie tkane dywany, narzut od luksusu sięgnął 50 proc. ceny.

Myślę, że dla ilustracji tego taffnu cen i kosztów warto prześledzić narodziny jakiegoś konkretnego prostego wyrobu. Mój wybór, dokonany wespół z prezesem spółdzielni „Wikliniarka” Ryszardem Podobińskim, padł na skromny kosz wiklinowy typu „Holender”. Zaním wdamy się w parę liczb, gwoli wyjaśnienia dodajmy, że „Wikliniarka” jest spółdzielnią dość odporną na troski surowcowe. Jak sama natura podpowiada, tej tworzywem jest wiklina, surowiec na ogół dostępny, choć trudny w obróbcę. Co więcej, przy kosztach tego surowca, sięgających zaledwie 10 proc. wartości wyrobu, aż 80 proc. kosztów stanowi sama praca, wykonana w dodatku bez nakładów na tzw. stanowisko pracy, bo tylko w domu chałupnika. Można więc stwierdzić, że „Wikliniarka” sprzedaje (w tym głównie na eksport) niemal samą pracę swoich chałupników, przetworzoną w piękne, poszukiwane w kraju i za granicą wyroby wikliniarskie.

Wróćmy teraz do „Holendra”. Jego oficjalna cena wynosi obecnie 860 złotych — z dużą szansą na znaczny wzrost w br. Co składa się na tę cenę?

Chałupnik za wykonanie kosza otrzymuje 67 złotych. Koszt surowca, czyli wikliny, wynosi 172 zł. Mamy więc 239 zł jako bezpośredni koszt produkcji koszyka. Reszta to narzuty: ZUS, podatek od funduszu plac, urlopy, dodatki stażowe, fundusz socjalny, budownictwo mieszkaniowe — łącznie 103 zł. Ale to nie wszystko. Dochodzą jeszcze tzw. koszty pośrednie, sięgające 45 proc. kosztów podstawowych. Stanowią je m.in. czynsze, podatki od nieruchomości, transport, administracja itd. W ostatecznym rachunku spółdzielnia otrzymuje za kosz 640 zł, osiągając zysk bardzo skromny, bo wynoszący zaledwie kilka procent tej kwoty. Po dodaniu podatku obrotowego, wynoszącego dla tej spółdzielni 10 proc., amatora ładnego kosza na zakupy musi wyłożyć 860 złotych. Ten sam kosz na targu lub w domach chałupników można kupić za 300—400 złotych. Z porównania tych cen bierze się zrozumiała opinia o rzekomym zdzierstwie „Cepelii”. O samowolnym dyktacie cen, o zerowaniu na brakach rynkowych przez poszczególnych wytwórców cepeliowskich.

Widzimy więc, że przy takiej strukturze narzutów, przy takim systemie podatkowym, „Cepelia”, wbrew ochronnym ustawom i powszechnej opinii o preferencjach, wcale nie jest rozpieszczana. Zresztą ze wspomnianej ustawy 112/81 nawet oficjalnie nie zostało już nic — wycofano z niej kolejno uprawnienia placowe, odpisy dewizowe, swobodę ustalania cen, a jeśli idzie o „preferencje” surowcowe, to obrazują je opisane perypetie z runem owczym i srebrem.

„Dlaczego nas się tak dusi podatkami?” — pytała działaczka „Cepelii”, prezesi poszczególnych spółdzielni, Czy dlatego, jak np. w przypadku „Wikliniarki” — że stanowisko pracy chałupnika jest bodaj najtańsze w Polsce wśród wszystkich grup zawodowych, bo składa się nań stołek i ostry nóż chałupnika? Czy dlatego — pytała inni — że musimy dopłacać do stanowisk pracy w przemyśle kluczowym? I dlatego twierdzi się nawet, że do nas się dopłaca, bo w niektórych spółdzielniach koszt uzysku dolara wynosi około 200 złotych, przy oficjalnej cenie dolara nie przekraczającej 100 złotych? To w takim razie — odpowiedźmy pytaniem na pytanie — jak „Pewexowi” opłaca się sprzedawać pół litra spirytusu za kilka dolarów, czyli zaledwie za kilkadziesiąt złotych, gdy za słotówki kosztuje on prawie 1200 zł?

wią: premia — 4375, rekompensata na siebie — 1760, zasiłek rodzinny — 3850, rekompensata na dzieci — 9280 zł. Tak więc 19 697 tys. zł to pieniądze nie zapracowane, choć legalnie należne. Drugi przykład: chałupnik z okolic Haraśiuk. Jego plac w listopadzie zamknęła się kwotą 14 480 zł, podczas gdy faktycznie „wypłócił” tylko 4030 zł. Dziesięć tysięcy to rekompensaty, zasiłki i premie.

Pracować „nie za dużo” opłaca się przy tym z innego jeszcze powodu. Kilkanaście sztuk wyrobów można sprzedać samemu i nie — jak w przypadku „Holendra” dla „Cepelii” — po 67 złotych, lecz po 300—400. Surowiec, czyli wiklinę rozliczyć trudno, poza tym jest na tyle tani, że nie stanowi skutecznego narzędzia kontroli produkcji.

Jednocześnie nagromadziło się w systemie plac i świadczeń dla chałupników szereg zaniedbań, wyraźnie krzywdzących decyzji, „przeoczeń”, które powodują że wielu ostatnio zrywa z „Cepelią”. Przez długie lata np. walkowano sprawę rent i emerytur dla chałupników, których traktowano pod tym względem jako dorabiających hobbistów. Wreszcie doczekali się należnych świadczeń. Do dziś jednak poza tymi świadczeniami pozostaje grupa około dwóch tysięcy chałupników, którzy dostarczają do skupu swoje wyroby wytwarzane nie tylko chałupniczo, lecz nawet z własnych materiałów. Jest to grupa szczególnie cennych twórców ludowych. Tworzą oni spontanicznie i tylko to, co „leży im na sercu”, w sposób nie wymuszony i nie seryjny, kunstem przekazywanym przez tradycję rodzinną czy lokalną. Szczególnie duży procent takich wytwórców współpracuje ze spółdzielnią „Millenium” w Krakowie, gdzie na 144 jej członków aż 470 nie pobiera z tego właśnie powodu żadnych świadczeń i nie ma zagwarantowanych rent i emerytur. Na naciski „Cepelii” w tej sprawie Ministerstwo Pracy, Plac i Spraw Socjalnych zaproponowało rozwiązanie — oceniane wszak przez spółdzielców i samych chałupników jako propozycja nie do przyjęcia, bo uzależniająca ubezpieczenie tej grupy wytwórców od płacenia przez nich miesięcznej składki ubezpieczeniowej w wysokości 2300 zł. Potraktowano więc ich jak rzemieślników, a nie twórców-artystów, kontynuujących tradycje sztuki ludowej w sposób nie skażony profesjonalizmem. W tej grupie znaleźli się także rolnicy o małym areale gruntów, których głównym zajęciem jest praca w dziedzinie rękodzieła ludowego.

Ostatnio zaś duże zaniepokojenie wśród wielu tysięcy rolników-twórców ludowych wywołała propozycja Ministerstwa Pracy, Plac i Spraw Socjalnych w sprawie dodatkowego ubezpieczenia i racji dostarczania przez nich do spółdzielni wytwórców rekompensat. Rolnicy ci są już ubezpieczeni z racji prowadzenia gospodarstw. Ministerstwo jednak pragnie rozciągnąć obowiązek ubezpieczenia społecznego na każdego, kto tylko prowadzi działalność wytwórczą!

Wszelchobecny, może tylko niezbyt kochany fiskus stara się więc drzeć ze wszystkiego, co tylko pachnie cepelią; bez żadnych tam sentymentów dla tradycji, dla potrzeby jej popularyzacji itp. mrzonek. On wie, że sztuka ludowa to „Cepelia”, a jak „Cepelia” to wysokie ceny, a więc luksus.

Ostatnio nawet pokazał, że samo kochanie ludowości, czyli sztuki i rękodzieła ludowego, to już luksus. Dowodem stały się doroczne wrzesniowe targi sztuki ludowej w Krakowie, obok targów warszawskich największa tego rodzaju „cepeliada” w kraju. Fiskus kazał oto odsypać pokaźną dołą Fundusz Aktywizacji Zawodowej od kwot wypłaconych 70 twórcom ludowym za przedstawione przez nich unikalne eksponaty rękodzieła artystycznego.

Jak tak dalej pójdzie, to niedługo nawet westchnąć bezpłatnie nie będzie wolno — nie tylko samym twórcom, ale i oglądaczom ich dzieł.

Menu Rydza-Smigłego

BEZPOŚREDNIO po drugiej wojnie w gazetach lubelskich pojawiali się oświadczenia tej treści: „Wrócił Morajne, wrócił szczęście do Lublina”. Nadawca, podmiot i przedmiot owego inseratu, uprawiał raczej pieniądze, a nie twórczość literacką, ale czy po przeczytaniu cytowanego zdania Majakowski nie powtórzyłby z radością: „uważam reklamę za poezję o najwyższych kwalifikacjach”?

Tak, pan Morajne był poetą, dziś na pewno drukowałby w „Kamieniu” lub „Akcentie”, choć cele jego życia spełniały się w zabiegach o pomyślność własnego Domu Bankowego i kantoru loterii pieniężnej przy międzywojennej ul. Kapucyńskiej 3. Kto nie wierzy, niech obejrzy dodatkowo plakat, eksponowany m.in. na wystawie reklamy dawnego handlu lubelskiego, urządzonej ze zbiorów własnych przez Muzeum Historii miasta Lublina w Bramie Krakowskiej, a czynnej w styczniu i lutym br. Centralnym motywem tej wielkiej, kolorowej litografii jest wnętrze skarbcza owego Domu Bankowego, wypełnionego tym, co przeznaczono dla szczęśliwych nabywców (10 zł ówczesna) losów 33 loterii: trzech panów, ozdobionych zachęcającym uśmiechem, wskazuje na półki otwartych sejfów, z których wręcz wylewają się miliony — w grubych pakietach, luzem i w worach z liczbami: 300 000, 400 000, 500 000. Taki obrazek musiał działać na humanistycz-

na wyobraźnię lublinian, może nawet uległ mu Józef Czechowicz, mieszkający w pobliżu interesu pana Morajnego. Tyle waluty! — czy nie jest to poezja „o najwyższych kwalifikacjach”? No dobrze, niech wam będzie: lokujemy tę reklamę w rejonach poezji konkretnej, za niebiańską pomyślność pana Morajnego wznosząc toast białą pomarańczówką „Jeszcze raz”, wyprodukowaną w Fabryce Wódek i Rafinerii Spirytusu K. R. Vetter (właściciel T. Karszo-Siedlewski), a popularyzowaną przy pomocy fajnej kolorowej nalepki na, powiedzmy, tornister uczniowski.

W tej poetyce — celebracji konkretności — utrzymane są plakaty innych znanych fabryk, manufaktur i magazynów lubelskich, skomponowanych na ogół ze zwężonych, lecz wyczerpujących napisów informacyjnych, które otaczają reklamowany produkt: barwny, odrobiony dokładniutko, z miłością, wręcz pchający się nam w drżące, pazerne łapy. Tak właśnie wyglądają plakaty fabryki maszyn i narzędzi rolniczych M. Wolskiego i spółki, przedstawiające błękitne, zielone, na krawędziach najczęściej czerwone: wianki typu „Królewianka”, sieczkarnie, kieraty konne. W podobny sposób przyciąga klientelę litograficzna apoteoza „najlepszych amerykańskich maszyn do pisania” firmy „Underwood”. Tytułowy motyw tego plakatu jawi się nam jako patetyczny monument — na tle czerwonych promieni wscho-

dzącego słońca, w otoczeniu drapaczy chmur. Ten obrazek jest bardziej dynamiczny od wspomnianych, więcej w nim hałasu i rytmu — widać, że jego autor zdawał sobie sprawę, jak wygląda stereotyp „Ameryki” w polskiej świadomości.

Jeden z plakatów fabryki Wolskiego należy przecież do innego świata: lirycznych wzruszeń, prowokowanych z premedytacją przez designera, człowieka znającego czule miejsca ludzkiej psychologii, który wie np., że łatwiej sprzedać coś w opakowaniu z wizerunkiem nagiej i obiecująco rozleniwionej nimfy leśnej, niż z portretem świętego patrona ludzi pracy, przyodzianego choćby w azbestowy kombinezon. W tym obrazie — bo to jest w gruncie rzeczy litograficzny obraz — nie ma co prawda nagości, ale jest pejzaż wiejski ze sceną roboty łatwej, lekkiej i owocnej, wykonywanej przez czerwoną mlóciarnię sprzężoną ze spalnym agregatem, przy której leniwie porusza się trzech fornalni (?), od niechcenia machających widłami. Na czystym niebie zielenią się korony drzew, przed nimi miękko osiadła miazga (ale nie za wielka, taka na miarę człowieka) kopa żółtej słomy — sennie tu, sielankowo, żyć się chce, a nie pracować, bo i po co tyrać, skoro machina sama wszystko zrobi... Ale coś jeszcze wyróżnia ten plakat: drastyczne zredukowanie tekstu do napisu: „Sp. Akc. M. Wolski — S-ka w Lublinie, A.W.P. Do 22”, umieszczonego tam, gdzie zwykle znajdował się w rzeczywistości: na bocznej ścianie mlóciarni. Biorąc to wszystko pod uwagę, wskazując na fakt, że faktura kompozycji ujawnia drżenie dłoni rysownika, nie możemy już zwiekać z oświadczeniem: — W identyczny prawie sposób reklamuje się dziś towary na Zachodzie!

Szkoda, że nie znamy autorów tych reklam, że nie mamy pojęcia, kiedy dokładnie one powstały. Wiemy tylko, iż w większości wydrukowano je w Zakładach Graficznych J. Pietrzykowskiego przy ul. Kościuszki, będącej w

międzywojniu swoistym centrum redakcyjno-poligraficznym miasta.

Przemysłowcy, handlowcy czy właściciele lubelskich restauracji reklamowali się ponadto za pomocą ogłoszeń prasowych, kopert i papierów firmowych, serwetek papierowych na stołki, nalepek, szyldów. Przeglądając te druki czy fotografie witryn sklepowych (wykonane w 1938 r. przez S. Kielsznę), jakos pełniej uzmysławiamy sobie klimat tamtych odległych czasów, jego wesołość i skomplikowanie. Z sentymentem przyjmujemy ofertę Franciszka Borowieckiego, który w swym sklepie pt. „Skład Muzyczny oraz Artystyczna Pracownia Instrumentów Smyczkowych” przy ul. Królewskiej 6 proponował m.in. płyty „Columbi” „Syrny” „Odeonu” i „Parlophonu”, na przykład z nagraniami Ordonówny, Terne, Fogga, chórow Dana, Warsa i Juranda. Kolyszermy się z uciechy w trakcie lektury ulotki (ależ to efektywny druk!) firmy krawieckiej „Krój”, której właściciel zalecał się klienteli swą rolą „Byłego eksperta, Profesora Paryskiej Akademii Narodowej Mistrzów Krawieckich...”. Trochę nam jednak markotno, kiedy skład materiałów budowlanych i szkła okiennego (Aleja Marszałka Piłsudskiego 10) zapewnia lublinian, że do klientów kieruje „szklarza-fachowca chrześcijanina”.

A wiecie państwo, co spożywał marszałek Edward Rydz-Smigły w Kasy nie Garnizonowej przy ul. Peowia-ków 12, po uroczystym otwarciu Instytutu Lubelskiego, czyli dzisiejszego gmachu Biblioteki Łopacińskiego i BWA? Jadłospis, który już osobiście odnalazłem w archiwum wojewódzkim, proponował: wódki, przekąski, barszcz z pasztecikiem, sandacza po parysku, wina reńskie, Lib fraumilch 1935, indyka, kurczę po francusku, poledwiec z różną, sałaty, kompoty, wina Bordeaux, białe Lampiak i czerwone Margaux oraz kawę. Było to 4 czerwca, niecałe trzy miesiące przed wybuchem drugiej wojny światowej. A litery menu były złote.

IJK

Kajet literacki

Pierwsza powieść

PIERWSZA książka nie zawsze jest ciekawa, ale historia związana z jej powstaniem bywa interesująca, zabawna. Zresztą posłuchajcie.

W 1967 roku przyjechałem do Lublina ze swoją pierwszą powieścią, a właściciel z jej okazją częścią. Tytuł już miałem gotowy: „Encyklopedysta”. Była to uwspółcześiona wersja „Don Kichota”. Już tylko to świadczy o wielkim ogniu młodości. Postać Sancho Pansy rozbiłem na dwie figury: Pijaka i Amanta. Dulcynę była śliczna i lewa Laleczka. A wyglądało to tak. Kilka stukartkowych brulionów połączyłem sprytnie drutem w jedną całość, podobną do średio-wiecznego woluminu. Ledwo mi to włożyło do walizki. Walizki tej nie chciałem w Poznaniu zostawić w przechowalni, bo bałem się, że powtórzy się historia związana z hemingwayowskimi manuskryptami.

Dotarłem jakoś do akademika i smarowałem dalszy ciąg swojej — na oko — superpowieści. Zaintrygowało to kolegów-kujonów-pokerzystów i uwodzicieli. Przecież nikt nawet polonistom nie zadaje tyłu prac oisemnych — mówili. Wzięli kobylasty manuskrypt i zaczęli czytać. Bruliony wędrowały z rąk do rąk. Amatorów lektury było tylu że zbierano się w jednym pokoju i czytano na głos. Ja tam nie zachodziłem, bo nie miałem stu procentowej pewności, czy to jest robione na serio. Ale z drugiej strony fakty mówiły co innego. Czytano „Encyklopedystę” wieczorami dzień po dniu.

Nagle znowu przestraszyłem się, że mój rękopis może zginąć i postanowiłem go przepisać. Jak na studenta miałem spore oszczędności, więc zaczą-

łem szukać kopsów. Jeden trunkowicie przepisywał mi połowę za równowartość kilku sikaczy. Drugą połowę kaligrafował magistrant chory na grzybicę. W zamian za to ja musiałem mu co wieczór pędzlować plecy jakimś cuchnącym preparatem.

Po kilku miesiącach ruszyłem ze swoją kobylą do Związku Literatów. Powiedziałem sekretarce, że niedawno przyjechałem do Lublina i chciałbym nawiązać kontakt z jakimś pisarzem. Pani Ola zadzwoniła do kogoś i oświadczyła po prostu, że przyjechał pisarz z Zielonej Góry. Nie protestowałem specjalnie. Niech i tak będzie. Jakiś mężczyzna wyznaczył mi spotkanie przy narożnym stoliku w knajpie. Przyszedł trzydziestolatek, którego nigdy potem nie widziałem, ani też nie potrafiłem zidentyfikować na żadnej fotografii. Gdy mu wytłumaczyłem, o co właściwie chodzi, wyjaśnił mi, że on jest poetą, a prozakiem jest Henryk Pajak. Wypiliśmy po piwie i na tym się sprawa zakończyła.

Po paru tygodniach wybrałem się do Pajaka, który potraktował mnie serio. Wziął gigantyczny manuskrypt i schował go do biurka. Gdy go odwie-dziłem powtórnie powiedział, że powieść mu się podoba. Usiadł i szybko napisał rekomendację do wydawnictwa: „Polecam powieść Pana Janusza Olezaka, Henryk Pajak”.

Podrzuciłem swoją bombę do wydawnictwa i uciekłem jak zamachowiec. Był to już chyba rok 1969. Po kilku miesiącach dwie panie-redaktor-ki przyjęły mnie bardzo serdecznie na wesoło i wyjaśniły, że całość trzeba skrócić, a przede wszystkim „prze-pisać na maszynę. Wtedy się zobaczy, co dalej. Albo one same to wydadzą, albo skierują urzędową drogą do „Iskier”.

Na wakacjach postanowiłem kupić sobie używaną maszynę do pisania.

Szybko wywahałem dobrą okazję. Akurat spłajtował jeden przedsiębiorca budowlany i wszystko rozsprzedawał. Chciał tysiąc złotych i litra, którego ja miałem postawić. W końcu dzięki energicznemu pośrednikowi stanęło na tym, że płacę osiem stów, a litra funduje budowlaniec.

Przez kilka miesięcy przepisywałem na „Eric” z niemieckimi czełonkami swojego „Encyklopedystę”. Wreszcie okazało się, że całość liczy ponad pięćset stron nieznormalizowanego maszynopisu.

Byłem już wtedy magistrantem, więc powieścią moją zainteresowali się profesorowie uniwersytetu. Przeczytali, pochwalili.

— Czemu nie stara się pan na początek publikować tego fragmentami? — spytał profesor I. O.

— Jakoś o tym nie pomyślałem.

— Zadzwoń do „Kamenu”, do Maćka Podgórskiego.

Do „Kamenu” wybraliśmy się razem z Jurkiem Kaczorowskim, przyszłym autorem powieści „Zamek”. Akurat mieliśmy wolny czas między lektoratem a seminarium. Redaktor Podgórski zebrał, gdy zobaczył potężny maszynopis związany miedzianym drutem.

— Za miesiąc może to przeczytam — powiedział. — Najlepiej skontaktujmy się za dwa miesiące. Albo za trzy.

— To jest nawet niezłe — mówił redaktor po pięciu miesiącach, gdy się powtórnie zgłosiłem. — Najlepiej wybierz pan sam parę fragmentów kilkunastokowych. Aha, jeszcze jedno, czy nie może pan niemieckich czełonek wymienić na polskie? To kosztuje grosze.

Natychmiast pogoniłem do mechanika, który za całą robotę wziął stówę.

— Czy warto było tego głata reparaować? — spytałem na wszelki wypadek.

— Panie, to znakomita maszyna. W tej chwili daje panu za nią trzy tysiące.

Ucieszyłem się, że przynajmniej na maszynę zrobiłem taki dobry interes.

Przepisywałem jednocześnie pracę magisterską i fragmenty dla Podgórs-



Rys. Zygmunt Pylik

kiego. Kilka miesięcy po magisterce okazało się, że dwie moje książki zostały nagrodzone w konkursie na debiut prozatorski „Encyklopedysty” z lenistwa nie posłałem na ten konkurs i bardzo tego żałowałem, bowiem do druku zaczęto pchać moje teksty konkursowe. Dziś uważam, że historia związana z pisaniem i przepisywaniem powieści jest ciekawsza od samego tekstu.

Janusz Olezak

Dla kogo Teatr Narodowy?

JAK wam się podoba? — pyta Szekspir tytułem swojej komedii, uznanej za najpiękniejszą komedię miłości w światowym teatrze. Jak nam się podoba? — pytają zapewne siebie widzowie po przedstawieniu zrealizowanym przez Krystynę Skuszanek w Teatrze Narodowym. Chociaż takie pytanie niewielu widzów stawia, po prostu niewielu ogląda to przedstawienie — przynajmniej na razie. bo premiera jeszcze „nowa” (7 stycznia 1984 r.) — publiczności starcza zaledwie na zapalenie pięciu, sześciu pierwszych rzędów. Można było się spodziewać, że druga premiera sezonu w Teatrze Narodowym będzie „wydarzeniem”, bo Szekspir, bo Krystyna Skuszanek, bo wreszcie prasa centralna i radio zapowiadały głośno tę premierę. Ale na razie jakoś nie tłoczno na widowni Narodowego. Dlaczego?

Do niedawna jeszcze (w czasie dyrekcji Adama Hanuszkiewicza) bywało, że brakło biletów, że grywano niemal zawsze przy pełnej widowni, zwłaszcza przedstawienia reżyserowane przez Hanuszkiewicza. Ogromną popularność zdobyły m. in. „Balladyna”, „I... Dekameron”, chociaż były to przedstawienia określane przez krytyków jako „nie-dobre” (np. tak pisała Marta Fik). Czy obecnie w Teatrze Narodowym powstają przedstawienia „dobre”? Puste miejsca na widowni nie dają jeszcze żadnej odpowiedzi. Terminy „dobre” i „nie-dobre” nie są, rzecz jasna, ani wystarczające, ani odpowiednie dla oceny spektakli teatralnych, a tym bardziej dla określenia twórczości artystycznej jakiejś placówki teatralnej.

Jeżeli zatem chcemy dzisiaj mówić o Teatrze Narodowym, trzeba przede wszystkim stwierdzić, że od wiosny 1983 r., to jest od czasu, gdy kierownictwo artystyczne Narodowej Sceny objeli Krystyna Skuszanek i Jerzy Krasowski, jest to teatr po prostu „inny”.

Nie jest już chyba „teatrem kultury masowej”, jaki mieliśmy okazję oglądać w ciągu piętnastu lat dyrekcji Adama Hanuszkiewicza. Pierwszym, bardzo czytelnym elementem, który pojawił się wraz z nowym kierownictwem artystycznym, był powrót kurtyny. W wywiadzie zamieszczonym w „Polityce” (1983, nr 7) Jerzy Krasowski stwierdził, że teatr musi przede wszystkim sprawić sobie kurtynę, stara „została przed laty zdjęta i zbutwiała”. „A gdzie teraz dostać materiał na kurtynę?” — swoje smartwienie zamieściła w tymże wywiadzie Krystyna Skuszanek. Mimo kryzysu materiał jednak się „znalazł”. Bo jakże to, Narodowa Scena bez kurtyny? Nie przystoi!

Co zatem za nową kurtyną i za sprawą nowej dyrekcji? Głównie klasyka. „Zwolon” Norwida (premiiera — kwiecień 1983 r.), „Krakowiacy i górale”; w Teatrze Małym „Czarująca szewcowa” Federica Lorci, „Albertusy” — rybałtowska komedia z XVI wieku, ale również sztuki współczesne („Koczowisko” Tomasza Łubińskiego) i wreszcie Szekspir.

Czym jest owa piękna szekspirowska komedia na scenie Narodowego? Opowieścią o Rozalindzie i miłości? W jakiej mierze także, chociaż właściwym „bohaterem” przedstawienia jest SWIAT, albo raczej dwa różne światy, świat ludzkiej samotności i zdrady wszystkiego co ludzkie, zły i tragiczny (życie dworu) i świat pełen szczęścia, dobroci, życzliwości i wspólnoty (życie w lesie), Arkadia, która jest jednak złudzeniem rodzącym się z rozczarowań; oraz CZAS. Czas jako wielka siła ludzkiego życia, której wytworami są wszelkie uczucia i myśli. Tę rolę czasu wielokrotnie pokazuje Szekspir w tekście dramatu. Problem życia ludzkiego w czasie przedstawia „melancholijny filozof” Jakub.

Reżyserka koncepcja Krystyny Skuszanek poszła w kierunku odczytania

„tych właśnie warstw tekstu, przeniesienia na scenę w poetyckiej strukturze przedstawienia owego filozoficznego przesłania Szekspira”. Stąd główną rolę w przedstawieniu Skuszanek wiodą: „czarny filozof” Jakub (Krzysztof Chamiec) i błazen Probieczyk, bardzo sprawnie zagrany przez Józefa Skwarka. Z dużą przyjemnością ogląda się tego aktora w „Jak wam się podoba”, rzadko bowiem widuje się go na scenach. Od czasu młodzieńczego „sukcesu” w filmie „Szatan z siódmej klasy” zaniedbał chyba swój talent i warsztat aktorski, oddając się innym dziedzinom twórczości teatralnej, jako reżyser oraz przez krótki czas dyrektor teatru w Kielcach, nie odnosząc zresztą na tym polu żadnych sukcesów. W roli błazna Probieczyka niesie Józef Skwark znaczną część ciężaru znaczeniowego przedstawienia; tematy prawdy i pozoru, jeden z zasadniczych u Szekspira problemów ludzkiego życia, sprzeczność między prawdą i maską.

Na szczególną uwagę zasługuje w przedstawieniu Skuszanek scenografia Grażyny Zubrowskiej, kompozycja oparta głównie na kontraście kolorów bieli i czerni (Las Ardeński), poza tym ujawnia doskonale zorganizowanie przestrzeni scenicznej (czern ścian powiększa i pogłębia przestrzeń sceny). Na tle głębokiej, przestrzennej czerni przemieszczają się postacie, wszystkie w białych kostiumach. Wydaje się jakby konieczne w tej komedii Szekspira tak wyraźne zróżnicowanie na biel i czern, konieczna wydaje się ich obecność nie tylko w sensie plastycznym, również jako symboli dobra i zła, które istnieją obok siebie, bo życie według Szekspira „nie jest ani dobre, ani złe”.

Gdyby próbować ocenić przedstawienie Krystyny Skuszanek „kategoriami szekspirowskimi”, trzeba by powiedzieć właśnie tak: że nie jest to przedstawienie ani dobre, ani złe, jest po prostu bardzo „poprawne”, znać w nim rękę sprawnego reżysera, jakim niewątpliwie jest Skuszanek. Reżysera, który oszczędnie i niezwykle umiejętnie gospodaruje własnymi pomysłami i tekstem dramatycznym; nie niszcząc struktury tekstu, potrafi wpisywać weń własne koncepcje. Na scholastyczne pytanie, czy jest „wierna autorowi”, można odpowiedzieć, że przede wszystkim jest wierna sobie, własnej wizji teatru i świata.

Inscenizacja szekspirowskiej komedii posiada niewątpliwie rysy i piękności wynikające głównie z niedostatków w zakresie aktorskiego rzemiosła (w bieżącym sezonie pojawiło się w teatrze



Rys. Zygmunt Pytlík

sporo nowych aktorów, może nie wszyscy jeszcze powinni grać w Narodowym), jest to jednak przedstawienie na pewno godne obejrzenia, stanowi kolejne ogniwo linii repertuarowej podjętej przez Krystynę Skuszanek i Jerzego Krasowskiego, linii, która nie jest jeszcze może w pełni wykrystalizowana i czytelna, ale najbliższe zapowiadane przez teatr premiery („Zemsta”, „Szelmostwa Skapena”, „Lilla Weneda”) pozwolą już z pewnością na formułowanie ogólniejszych opinii o kolejnym etapie działalności sceny dramatycznej przy placu Teatralnym w Warszawie.

Może i widownia zacznie się zapelniać, bo trzeba przyznać, że teatr wiele robi w tym kierunku. Bardzo sprawnie pracuje Biuro Obsługi Widzów, istnieje możliwość telefonicznego zamawiania indywidualnych biletów. Rzecz tak zdawałoby się prosta, a niesłusze nie wszędzie możliwa (ubelski Teatr im. Osterwy nie prowadzi telefonicznej rezerwacji biletów — dlaczego?). Oprócz bardzo starannie redagowanych programów teatr wydaje również „Gazetę Teatru Narodowego”, którą można kupić nie tylko w teatrze, ale również w kioskach „Ruchu”, przynajmniej w Warszawie. Materiał „Gazety” jest dość bogaty, pomieszczone tam informacje o bieżącym repertuarze i planach teatru, wypowiedzi krytyków i twórców o przedstawieniach, informacje o aktorach. Czy to wszystko pomoże ludziom trafić na widownię Teatru Narodowego i komu pomoże? No właśnie, dla kogo pracuje dzisiaj Teatr Narodowy?

Lidia Wójcik

Ekran i widz

Wiktoriańska kontestatorka

PRZED projekcją „Kochanicy Francuza” Karela Rejsza w dyskusyjnym klubie filmowym, przeczytałem mini-recenzijkę umieszczoną na tablicy informacyjnej:

„Adaptacja poczytnej powieści Johna Fowlesa mogłaby się stać jedynie stylową ekranizacją romansu z epoki wiktoriańskiej, gdyby nie oryginalny pomysł Rejsza i jego scenarzysty Harolda Pintera, którzy posłużyli się wspólną ramą opowieści (wątek filmowania owej powieści na planie). Pozwoliło to uzyskać mądry dystans do melodramatycznej fabuły, która ukształtowała swój kontrapunkt w historii romansu aktorów grających kostiumowych kochanków”.

Pardon, ale mimo najlepszych woli nie potrafię doszukać się cienia oryginalności w fakcie zastosowania przez skądinąd wybitnego brytyjskiego dramaturga oraz jednego z głównych przedstawicieli niedgdyjszego angielskiego „Free Cinema” — pomyślnie eksploatowanego przez scenarzystów i reżyserów, jak świat długi i szeroki, od czasów, kiedy narodziła się sztuka filmowa. Co gorsze, właśnie w

tek „współczesny” wypada w „Kochanicy Francuza” nader blado, jest mało przekonujący i wydaje się zupełnie zbędny w zestawieniu z gęstością artystycznej materii zawartej w partiach „kostiumowych” filmu. Tam, gdzie kończy się „współczesność”, a zaczyna opowieść o młodej, pięknej kontestatorce żyjącej w czasach panowania królowej Wiktorii, tam, gdzie kamera wchodzi w malowniczy pejzaż księstwa Dorset i dalej: do wnętrza dworów szlacheckich, do komnat bogatego mieszczanstwa, do izb ubogich farmerów i pokoi w prowincjonalnych hotelikach z końca ubiegłego stulecia — tam zaczyna się prawdziwe kino. Reisz potrafił z niezwykłą precyzją oddać klimat epoki wiktoriańskiej; nie tylko zresztą w wymiarze plastycznym, ale i — „duchowym”.

Historia „kobiety upadłej”, skromnej prowincjonalnej guwernantki, uwiedzionej (jakoby!), a następnie porzuconej przez francuskiego oficera wywołanego w czasie burzy z morskich odmetów przez miejscowych rybaków — już tylko ta sama opowieść, rzucana na tło ówczesnie wyznawanych w Anglii norm moralnych i oby-

czajowych, wystarczyłaby na doskonały film kostiumowy o melodramatycznym zacięciu. Scenarzysta i reżyser poszli jednak dalej: wyłuskali z książki Fowlesa i wyeksponowali w swej „Kochanicy Francuza” cały złożony aspekt psychologiczny owej historii. Należałoby więc raczej mówić o psychologicznym dramacie filmowym nakreślonym przez Rejsza (a nie o żadnej tam „melodramatycznej fabule”), tyle że zubożonym o ów niepotrzebny „współczesny” kontrapunkt.

Oto bowiem „nieszczęsną” bohaterka okazuje się w pewnej chwili osobą wcale nie tak znowu zaszczerłą przez opinię publiczną. Przeciwnie: ona właśnie konsekwentnie zmierza przez cały czas do uzyskania „statusu” kobiety upadłej, osoby wskazywanej przez wszystkich palcami. I u podłoża takiego właśnie postępowania owej — jak się w końcu okaże: „virgo intacta” — leży nie tyle masochizm, o który podejrzewa ją miejscowy lekarz przejęty nowymi prądami szturmującymi nauki medyczne, co przemożna chęć wyróżnienia się z miejscowego, szarego tł.

„Jako zwyczajna, przeciętna guwernantka, wywodząca się z biednej, prostej rodziny, byłabym przez całe życie nikim. Teraz — nareszcie staję się kimś!” — zwierza się „kochanica” francuskiego oficera angielskiemu gentlemanowi „z pozycją społeczną” oraz majątkiem, którego obecnie darzy skrytą miłością. Czy miłością „beznadziejną”? Nie! Bo wszak oprócz niewątpliwych walorów aparycyjnych posiada nasza bohaterka ów potężny atut inności. Jest „inna” niż wszystkie kobiety wokół, jest „kontestatorką” rzucającą wyzwania wiktoriańskiemu zakłamanemu obyczajowemu, zrobiła sobie sztandar z owej kontestacji. I dlatego jest bardziej pożądana, bardziej atrakcyjna, niż stojąca niebotycznie wyżej od niej na dra-

binie społecznej córki landlordów i bogatych kupców. Wywyższenie się poprzez upodlenie! — temu zadaniu potrafi, zaiste, sprostać tylko kobieca natura.

Nawiasem mówiąc, musiało minąć ponad pół wieku, aby społeczeństwo brytyjskie zdecydowało się wreszcie na dokonanie „rewolucji obyczajowej” w latach trzydziestych; rewolucji tak silnie związanej z nowymi prądami w światowej sztuce, z wyłaniającą się z niebytu pop-kultura, z potężnymi ruchami hippisowskimi... Nawet jeszcze wówczas, kiedy zarówno młody Harold Pinter, jak Karel Reisz, oraz jego filmowi koledzy: Lindsay Anderson, Jack Clayton, Dick Lester, Tony Richardson, John Schlesinger, Anthony Simmons przystępowali — pospolu z „młodymi gniewnymi” pisarzami spod znaku Johna Osborne’a — do walki o nowy kształt sztuki i nowe oblicze tak niedawnego „imperialnego społeczeństwa”, jeszcze wtedy w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Wielka Brytania wciąż tkwiła, w jakimś sensie, w dawno przecież minionej „epoce” wiktoriańskiej.

Wówczas to Reisz zadebiutował (w 1960 r.) pełnometrażowym fabularnym filmem „Z soboty na niedzielę”; o buncie młodego robotnika przeciw otaczającej go, zastanej rzeczywistości. Grający w tamtym filmie główną rolę Albert Finney był bezkompromisowy, przebojowy i pełen wiary w słuszność swojej sprawy; stanowił swoiste alter ego młodego reżysera.

Młodsza o ćwierć wieku od Finneya wiktoriańska kontestatorka Meryl Streep z „Kochanicy Francuza”, jest — o paradoksie — o wiele bardziej pełna kompleksów, wahań i niepokojów w swym buncie przeciw światu... Ile w tej filmowej postaci prawdy o odeszłej w przeszłość epoce, ile — o współczesnej ludzkiej naturze, ile — o samym dobiegającym dzisiaj sześćdziesiątki dawnym filmowym kontestatorze — Karelu Rejszu?

M. D.

Syndrom Marioli X.

TEGO nikt się w redakcji nie spodziewał. Rozmowa z Mariolą X. pt. „Nie czuję strachu przed Dekalogiem”, zamieszczona w pierwszym numerze „Kamenu” z bieżącego roku, wywołała lawinowe skutki. Po pierwsze, nakład numeru rozszedł się błyskawicznie. Po drugie, otrzymaliśmy w sprawie rozmowy aż 37 listów, co zdaje się świadczyć, iż tekst trafił w zapotrzebowanie na poruszaną w nim problematykę. Liczne były telefony do redakcji z prośbą o egzemplarze numeru 1/84. Byli również Czytelnicy, którzy osobście nas odwiedzili prosząc o to samo. W ten sposób pozbyliśmy się wszystkich gratisów. Po trzecie, wypowiedzi Marioli X. cytowane były w różnym wyborze i objętości, przez 11 tytułów. Po czwarte, autor rozmawiający z dziewczyną oraz kierownictwo redakcji zarzucani są prośbami o bliższe szczegóły, informacje, czy wreszcie oceny dotyczące profesji wykonywanej przez dziewczynę oraz jej postawy społecznej i etycznej-moralnej, a także zobowiązani do stosownych wyjaśnień i tłumaczenia się.

Dla bliższego zilustrowania P.T. Czytelnikom „Syndromu Marioli X.” — jak umownie nazwalimy cały ten zgiełk — prezentujemy niżej niektóre wypowiedzi, które nadeszły pod adresem „Kamenu”. Zachowujemy oryginalną pisownię i ich styl.

List nr 1

4.1.84.

Szanowny panie Waldemarze Piasecki

Zwracam się z uprzejmą prośbą w sprawie adresu do tej pani z którą prowadził rozmowę z Mariolą X. — dziewczynką w gazecie 1-14 stycznia 1984 roku numer 1 była pana rozmowa z tą panią bardzo mi na tej pani zależy i proszę o adres nazywam się M. K. [imię i nazwisko opuszczamy — przyp. red.] zamieszkały w X. [jak wyżej — red.] jestem kawalerem mam 25 lat pragnę się z tą panią i podkoc w 4 oczy nigdy jeszcze nie miałem dziewczyny a tak bym pragnął mieć dziewczynę i bardzo mi na tym zależy czy mógłby pan włączyć od niej adres i wysłać mi je do domu bardzo bym pana prosił o skontaktowanie z nią przepraszam za szybką prośbę i proszę o pomoc z podziękowaniem

M. K.

Woj. Lubelskie Poczta Biskupice 21-04

List nr 2

Lublin, 10.01.1984 r.

Redaktorze Jaworski!

O co idzie w tej całej zabawie? Pismo literackie zastrzeżone dla kultury drukuje wyznaczenia fakty — z przeproszeniem — kurwy! Czy to jest sposób na zdobycie nowego Czytelnika? Jakiego? Czy zależy Wam na poczytności u kurwy? Uwaga, że takie przypadki nie powinny mieć miejsca oraz że wycofanie wniosku za przyszłość z tego chybionego „chwytu reklamowego”.

List nr 3

Wyrażamy oburzenie, jako ludzie wierzący, parafianie Parafii św. Jana w Lublinie. Zamieszczenie rozmowy z prostytutką Mariolą X. w „Kamenu” nr 1 (794) obliczone zostało nie tylko na zakamulowane urażenie uczuć religijnych, ale także na atak bezpośredni, w postaci wypowiedzi ze „bohaterka” rozmowy jest katoliczką, wierzycielką i pochodzi z dobrej katolickiej rodziny. Jest to przykład fałszowania obrazu katolika, który nigdy takich słów nie wypowiadałby, ponieważ są one sprzeczne z etyką katolicką. Jeżeli „Kamenu” chce drukować rozmowy z osobami ze świata przestępczego, to niech to robi, jeśli jest to zgodne z etyką jej redaktorów, ale niech nie wykorzystuje ich do jawnych ataków na Kościół Katolicki i jego członków.

Adresujemy te słowa do redakcji „Kamenu” powołując się obowiązkiem zaproszenia w imię i zgodnie z dobrą pojętym interesem naszej wiary. Byłoby efektywne, czy redakcja z równą gorliwością zamieści nasz list, jak wcześniej wypowiedzi szkolące nas?

Parafianie (brak podpisów)

List nr 4

Rozmowa z Mariolą X. zainteresowała mnie, bo rzadko można przeczytać coś na temat kobiet wykonujących najstarszy zawód świata, w sposób pozbawiony komentarza i „smrodku” dydaktycznego. Nie oceniam tej dziewczyny, ale z dużą uwagą przyjmuję jej motywację dla tego co robi. Uwaga, że rozmowa posiada duży ładunek autentyzmu, co stwierdzam tym łatwiej, iż jestem również kobietą i niemal rówieśniczką Marioli.

Barbara z Pulawy

List nr 5

Dęblin, 15.1.1984 r.

Panie Redaktorze Piasecki! Czy zamieszczając tę wyusdaną rozmowę myślał pan w czyje ręce może ona trafić? Moja 14-letnia córka czytała „Kamenu” podniecającą i kiedy jej ją odebrałam zagroziła, że ucieknie z domu jak jej nie dam skończyć czytania. Czy pan sobie nie zdaje sprawy, że wskazuje pan drogę do łatwych pieniędzy dla wielu młodych dziewcząt? W Dęblinie młodzież szkolna uganiała się za gazetą z tą rozmową. Iu z nich zamocili pan w głowie? Ile dziewcząt dzięki tej lekturze zdecydowało się na zarabianie swoim ciałem? Zrobił pan krzywdę wielu młodym ludziom tą rozmową.

Matka

List nr 6

Mam 14 lat i chodzę do VIII klasy. Jestem ładną dziewczyną i mam duże powodzenie u chłopaków. Nigdy jeszcze nie kochałam się z żadnym z nich mimo że wielu bardzo nalega. Bardzo bym chciała poznać osobście panią Mariolę X. i porozmawiać z nią na temat miłości i seksu. Interesuje mnie np. kiedy pani Mariola rozpoczęła kontakty płciowe z chłopakami i czy to było już w podstawówce. Bardzo ciekawi mnie także czy miała kiedyś stającego chłopaka i czy wtedy też oddawała się innym. Trzecią sprawą są rozbiórane prywatki, o których dużo słyszałam i na które już miałem kilka razy zapraszać kolegów z liceum. Czy pani Mariola chodziła na takie prywatki i jak się na nie czuła? Chciałabym także zapytać ją o wiele innych spraw, ale nie mam możliwości. Czy „Kamenu” mógłaby mi umożliwić spotkanie z panią Mariolą jeśli to możliwe proszę o telefon w czwartki i piątki (od 14.30 do 16.15).

W takim terminie, bo wtedy jestem w domu sama i nie ma rodziców.

Magda, tel. (numer)

List nr 7

Kraków, 7.1.1984 r.

Szanowny Panie Redaktorze! Jestem pracownikiem naukowym UJ w Krakowie i od 5 lat zajmuję się problematyką prostytucji w aspekcie socjologicznym. Mam w tej mierze określony dorobek naukowy (4 publikacje i 3 referaty). Jedną z metod badawczych stosowanych w mojej pracy jest bezpośredni wywiad socjologiczny i ankiet oraz metody testowe osobowości i inteligencji. Wymagają one bezpośredniego kontaktu z osobą badaną. Stąd bierze się moja prośba o udostępnienie adresu p. Marioli X., ewentualnie przekazanie jej mojego adresu z prośbą o kontakt.

dr T. J. (nazwa zakładu naukowego i adres prywatny)

List nr 8

Po przeczytaniu rozmowy z Mariolą X. od razu poszedłem do swojej dziewczyny i kochałem się do rana (w sumie 12 „numerów”), czytając w przerwach rozmowę. Dobra robota. Moje gratulacje.

Student UMCS, Lublin

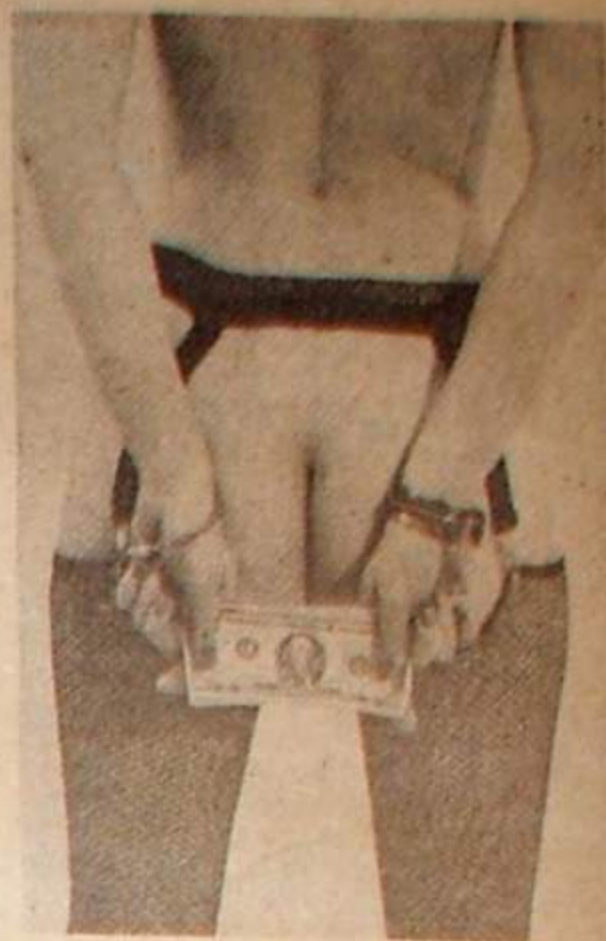
Otrzymałmy także list od pana J. K., mieszkająca Saska, a naszego stałego Czytelnika. Jego wypowiedź zawiera całą serię problemów związanych z tematem rozmowy; stanowi przez to pewien ewenement korespondencji. Traktujemy ją zatem nieco inaczej niż wymienione wyżej.

Szanowny Panie Redaktorze! Podczas czytania zamieszczonej w Kamenu (Nr 184) rozmowy w Piaseckiego z Mariolą X nasunęły mi się pewne refleksje, które przedstawiam poniżej:

- 1) Redakcja wykazała spory stopień odwagi, umieszczając w piśmie wyś. wspomnianą rozmowę. Mam na myśli możliwość ataków ze strony dawoiel i ew. reperkusje ze strony przedstawicieli Kościoła.
 - 2) Podstawą do ataków może stanowić aproba dla „dewizówek” wyrażona w rozmowie i poparta ilustracją ze znakami „Q”.
 - 3) Czy treść rozmowy, nie rzuca cienia na opinię studentek i młodzieży żeńskiej? (Mariola X. jest wazak jedną z wielu).
 - 4) Czy nie może budzić wątpliwości droga „dewizówek” do uzyskania dyplomów wyższych uczelni? One same, zapewne, nie mają dość czasu i chęci do śledzenia nad pracami seminarijnymi i dyplomowymi.
 - 5) Niewesołe dla nas wnioski muszą wyprowadzać z kontaktów z „dewizówkami” cudzoziemcy, którzy korzystają z ich usług.
 - 6) Skarb Państwa miałby tu coś do powiedzenia. Rozmowa ujawnia dobrze prosperującą „prywatną inicjatywę”, której dochody wymykają się spod kontroli i nie są opodatkowane.
 - 7) Jedną z nieobojętnych spraw w działalności „dewizówek” wydaje się być sprawa kontroli lekarskiej. Czy one nie boją się chorób wenerycznych?
- Może te moje uwagi nie mają sensu i zostaną wrzucone do kosza. Czuliem jednak potrzebę wypowiedzenia się.
- Zalęcam wyrazy szacunku!
- J. K.

Tychy, 13.1.1984.

Dokonany wybór korespondencji w pewien sposób ilustruje jej całość i główne kierunki. Zachowane są też — mniej więcej — proporcje. Stąd, na przykład, zamieściliśmy tylko jeden list (nr 4) prezentujący podejście zdroworozsądkowe do tematu. W istocie było takich — pięć. Prezentowane przez



Fot. Cezary Krupa

„Parafian” (nr 3) oburzenie — z powodu obrażania — ich zdaniem — uczuć religijnych nie jest jedynym, jakie otrzymaliśmy w poczcie. Przyznajemy natomiast, że jednym z dwóch (na siedem takich sygnałów), które nadaje się do publikacji bez, z kolei, obrażania kultury języka polskiego, kultury dyskusji i zatrudniania dyżurującego pracownika delegatury Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk. Drugim biegunem można określić oburzenie z pozycji — hmm — pryncypialnych, rozstrzygające z dużą „precyzją”: czemu to służy?; kto za tym stoi? oraz komu na tym zależy? Najogólniej — temu samemu i tym samym którym przed trzydziestu i nieco więcej laty. Dlatego też poprzedziliśmy na zatroskaniu ob. Z.L. (nr 2).

Zupełnie natomiast nie wiemy, co odpowiedzieć „Matce” (nr 5). Głównie ze względu na naiwność rozumowania. Czy mówią coś pani nazwiska: Starowicz, Wisłocka czy Nienacki? Czy ich utwory są trudniej dostępne niż „Kamenu”? Proszę spróbować odpowiedzieć. Czy o tym że prostytutka jest i że można z niej nieźle żyć córka dowiedziała się z „Kamenu” po raz pierwszy?

Osobna grupa to prośby o kontakty (nr nr 1, 6, 7). Każda jednak z innymi nadziejami indywidualnymi, choć zmierzającymi do tego samego w końcu celu: pogłębienia i rozszerzenia wiedzy i doświadczenia. Listy przekazałmy Marioli X. Co z tego wyjdzie? Ano, zobaczymy...

Również ostatni z prezentowanych listów jest reprezentatywny dla pewnej grupy, dość zresztą licznej. Nie zatrzymując się przy niej dłużej, wspomniemy, że reprezentował ją także nasz Czytelnik sygnujący list „Kalibabka”, który obok zapowiedzi odwiedzin Marioli włożył do koperty także prezerwatywy produkcji grudziądzkiego monopolisty (w tej materii).

Wypada jeszcze odnotować kilka (5) listów z pytaniami czy Mariola X. to, na przykład, Zuzanna G., Celina Z., Lilka O. itd. (podawano pełne imiona, nazwiska, a nawet adresy).

Pewną nadzieją napawa nas natomiast fakt że w sprawie rozmowy nie zajmowały oficjalnego stanowiska żadne organizacje społeczne, wyższej użyteczności, młodzieżowe i inne.

Swiatopelk Karpiński

LIST DO JEDNEJ PANI

Pożegnamy się, aby nie witać się więcej,
Pomimo pani wdzięku, godności i szarmu,
Bo przecież pani „za to” nie bierze pieniędzy,
Ja zaś nie mam zwyczaju k.... mieć za darmo.

Wespazjan Kochowski

O KORNUTACH ZA ŻONAMI

Często niewinne żony małżonkowie winią,
Ze im rogi na łbie jak Satyrom czynią.
Lecz każdy swej spyta, wiem tak mu odpowie:
Niech będzie róg gdzie trzeba, nie będzie na głowie.

Jerzy Paczkowski

OJCOWIE I DZIECI

Złajany, że się w domu zachował cynicznie,
Syn rzekł ojcu: „Mój cynizm ma strony dodatnie:
My dziś w domach prywatnych robimy publicznie
To, coście wy w publicznych robili prywatnie.

Julian Tuwim

DO JEDNEJ

Piotr miał cię za swą dziką żądę,
Jan za to, że jest piękny ciałem,
Alojzy miał cię za pieniądze,
Ja — zawsze cię za k.... miałem.

Z konkursu: Dlaczego Bruce Lee?

Nie jest bity kto bije dobrze

Elżbieta Rybak

NO i mamy, proszę państwa, kolejne bożyszcze. Tym razem to nie szokująca strojem czy interpretacją gwiazda rocka, lecz piękny a młody, tudzież zręczny i silny. Chińczyk imieniem Bruce Lee.

Kocha go prawie polski. Zarówno panowie, którzy marzą o tym, by dorównać mu perfekcją w walce, jak również panie, które fascynuje jego męskość. Napisałam, że tylko połowa naszego społeczeństwa pała afektem do Bruce'a, a dy nie przypuszczam, by zasuszone staruszki po obejrzeniu „Wejścia Smoka” śniły erotyczne sny z wiadomą osobą w roli głównej, a ich zreumatyzowani mężowie szturmowali sekcje wschodnich walk, by zgłębiwszy tajniki szybko i skutecznie wykończyć zniechęconego sąsiada.

Jak więc jasno wynika z powyższych wywodów, chcę forsować tezę, że Bruce Lee jest idolem ludzi w wieku produkcyjnym. Zdał sobie sprawę, iż nie jest to stwierdzenie zbyt odkrywcze, przeto zgodnie z tematem spróbuję powiedzieć coś nowego.

Dlaczego więc Bruce Lee?

Powszechnie znana prawda mówi, że jeśli chcemy być podziwiani, musimy coś sobą reprezentować. Im większe grono walczyli tym więcej trzeba z siebie dawać. Bruce Lee ma niezliczone rzesze swych sympatyków na całym świecie. Świadczy to o tym, iż to, co podziwiamy w jego wykonaniu, nie jest tanim efekciarstwem, lecz swoistego rodzaju sztuką, popartą solidną pracą zarówno fizyczną, jak i psychiczną, nad samym sobą. Jest to oczywiście sztuka szczególna, wymierna, jeśli to tak można określić. W przypadku np. malarstwa czy poezji miano artysty można uzyskać dosyć szybko. Szczególnie dzisiaj, gdy szerzy się nam superawangarda i tzw. animatorzy życia kulturalnego weiskają publicznie rzeczy, które w rzeczywistości są wulgarnym kiczem. Inaczej jest w sporcie. Gdy Bruce Lee wykanca skutecznie i w dodatku efektownie kilku przeciwników, nikt nie ma wątpliwości, kto prezentuje prawdziwą sztukę. Reasumując: Kochamy Lee za perfekcyjną sztukę, w tym przypadku walki.

Jednakowoż to zbyt mało, by tłumaczyć wyjątkową popularność naszego bohatera. Taki np. Carl Lewis też jest określany niekiedy mianem geniusza sportu, ale jego fenomen nie ma tak licznych gronów zagorzałych wielbicieli. No cóż, Lewis „tylko” skacze; biega i jest w tym świetny, ale Bruce Lee leży i to skutecznie, a w czasach, gdy argument żelaznej pięści zyskuje coraz większe znaczenie, jest to sprawa niebagatelna. Przy jego boku nie straszne byłoby spacerować nocną porą nawet po przedwojennym Czerniakowie o rodzimym LSM-ie nie wspominając.

Przeto nasi panowie inwestują pieniądze w oglądany kilkunastokrotnie



Repr. Małgorzata Hagowska

film pt. „Wejście Smoka”, jak przypuszczam, nie tylko po to, by ujrzeć na ekranie swego idola, ale również w konkretnym celu — podpatrzenia tego i owego. Jednakże sprawa nie kończy się na posiadówkach w kinie. Wszyscy wiemy, że czego jak czego, ale ambicji naszym supermanom nie brakuje. Dlatego też sekcje wschodnich walk aż pękają w szwach od słowniskich następców chińskiego smoka.

W tym miejscu wniosek drugi: liczy się siła i efekt, a ten, kto dobrze bije — nie jest bity. Powyższym stwierdzeniem naraziłam się zapewne tym wszystkim, którzy widzą w Bruce Lee nie tylko automat do bicia, ale również wartościowego człowieka. Nie było jednak moim zamiarem forsowanie tezy, iż wszyscy ci, którzy chcą go naśladować, to pozbawione czucia i wiary osiki, holdujące niskim instynktom. Nie napisałam przecież, że uwielbiamy skośnooką gwiazdę tylko za mocną pięść i zwinność pantery, ale jest to jedna z przyczyn popularności.

Dzięki cyklowi artykułów autorstwa pana Michała Reya, ukazujących się w „Kamieniu”, mamy okazję zobaczyć Bruce'a Lee w nieco innym świetle. To nie maszyna, lecz człowiek, z wszystkimi charakterystycznymi dla gatunku homo sapiens kompleksami, obawami, cierpieniami itp. Dzięki temu, że tak to określe, „odbrązowieniu pomnika”, dotychczasowa legenda, bóstwo niemal staje się bliższe każdemu z nas.

Już nie tylko podziw i uwielbienie, lecz również zwykła, człowiecza sympatia, szacunek, zrozumienie. To bardzo dużo.

Fenomen Bruce'a Lee da się motywować również w warstwie psychologicznej. Jest taki zbiorek wierszy L. Staffa, noszący tytuł „Sny o potęgę”. Nie interesuje mnie w tej chwili jego wartość artystyczna, lecz sam tytuł, który uświadamia nam, że potęga jest czymś idealnym i jak każdy ideał, nieomal zawsze niedoścignionym. W naturze każdego z nas tkwi pęd ku doskonałości. Chcemy być mądrzejsi, silniejsi, lepsi. Nie zawsze mamy dość siły, by samodoskonalić się, a gwoździ sprawiedliwości trzeba również zaznaczyć, że wbrew pozorom nie zawsze wszystko zależy od nas samych. Niezależnie jednak od tego, sny, marzenia — pozostają. Dla wielu właśnie Bruce Lee jest ucieleśnieniem potęgi. Chcąc go naśladować, wierzymy w prywatną doskonałość. Zwykle jednak okazuje się, że:

Szczęście, za które pełnisz jadu czasę,
Czyni się w mgnieniu tylko
szczęścia cieniem.
I od kołyski całe życie nasze
Do samej trumny, wiecznym jest
pragnieniem.

Tak by można powiedzieć słowami wiersza A. Oppmana.

Bardzo pesymistyczna to prawda, jednak, na szczęście, zwykle bywamy optymistami, a wiara jest naszym

potężnym orężem w walce z życiem. Przeto wierzymy w ideały. W tym wypadku w możliwość dorównania Lee, i mniejsze znaczenie ma wynik, bardzo ważne są dobre intencje. Tak więc Bruce Lee jest dla nas również psychiczną terapią, na tzw. małość współczesnego człowieka, który musi mieć swych bogów. Stąd legendy.

Casus Bruce'a Lee jest również dobitnym przykładem, że w życiu zwycięża ten, kto potrafi być wytrwały, walczyć w życie marzenia, wbrew przeciwnościom losu i niezyczliwosci ludzi. To bardzo budujące stwierdzenie w dobie coraz większej cywilizacji technicznej, a co za tym idzie „popularności doktryn głoszących absurdalność świata i przedstawiających człowieka jako skazanego na zagubienie samotnika” — jak pisał onegdaj E. Mounier. Dlatego też wydaje mi się, że niezależnie od tego, jaki mamy stosunek do „sprawy Bruce Lee”, należy ją uznać za fakt pozytywny, który wnosi istotne wartości do naszej kultury, mimo pojawiających się często głosów, że „Wejście Smoka”, tudzież koszarne breloczki z wizerunkiem Lee, to akurat nie to, czego potrzeba naszemu ambitnemu społeczeństwu, które to stwierdzenie w odniesieniu do breloczków całkowicie popieram.

W następnym numerze zamieścimy konkursową wypowiedź p. Bogusława K. Kowalskiego ze Szczecina.